N. 50. WARSZAWA d. 2 (14) Grudnia ROKU 1872.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

O postępie.

(Dalszy ciąg.)

Inni filozofowie XVIII-go wieku pragną ustalić i ugruntować tryumf rozumu, ale są przekonani, że człowiek samą siłą swego rozumu zdolny jest objąć i pojąć całą prawdę. Podobny więc sposób widzenia nie godzi się z ideą postępu. Zawsze i wszędzie jednaka prawda, jednakie prawo, jednakie prawodawstwo ma służyć wszystkim ludziom. I tak na pierwszych posiedzeniach zgromadzenia konstytucyjnego ogłoszono, owe sławne orzeczenie praw człowieka i obywatela, mające zadowolnić wszystkie narody i cały wszechświat. Członkowie tego Zgromadzenia nie postrzegli się, że są igraszką złudzenia, i że te pierwotne, bezwzględne prawa, są tak mało bezwzględne, że jeśli dwóch ludzi zacznie rozprawiać o czemś, najczęściéj każdy innego będzie zdania. Dopókąd chodzi o zasadę, wszyscy zgadzają się najzupełniéj, ale zgoda ustaje jak tylko przyjdzie wyrazić myśl swoją i sposób jéj zastosowania.

Jakim sposobem powyższa idea, która dziś wydaje nam się tak dziwaczną, mogła tak długo utrzymywać się na świecie, na jakiéj opiera się prawdzie? Oto na prostem dostrzeganiu. Człowiek wziął samego siebie za miarę cywilizacyi i ludzkości. Jeśli doszedłszy do pewnego wieku, człowiek zacznie rozpatrywać się w sobie, przeszłość w daleko poważniejszych przedstawia mu się barwach, wszędzie było więcéj życia, wszystko było lepsze, piękniejsze. Rzecz to bardzo naturalna: wtedy zmysły jego były młodsze, uczucie i wrażenia daleko żywsze.

Idea ta przeniesiona do historyi, wytworzyła ów sławny wiek złoty mający panować w początkach świata;—i przyzwyczajono się do niéj i wierzono w nią równie niezachwianie, jak przez długie wieki wierzono, że słońce obraca się około ziemi. Aż nareszcie pojawił się człowiek, który własnym niewierząc zmysłom, powziął śmiałe przypuszczenie, nieznaną dotąd ideę, i pierwszy ogłosił ją światu: nie słońce około ziemi, ale ziemia obraca się około słońca.

Toż samo miało miejsce z teoryą postępu; zdaje się, że Turgot'owi należy się chwała, iż pierwszy nadał téj idei czysto oznaczoną formę. Trudno twierdzić, że był jéj wynalazcą, bo zazwyczaj ciemna pomroka pokrywa chwilę poczucia wszelkich idei, i te długo skrycie świat obiegają, bo tylko wybrane uderzają umysły. I tak, ilekroć zrobi ktoś jakiś wynalazek, pokazuje się w końcu, że nic nowego nie odkrył, że przed nim wiele już osób tenże sam obrabiało przedmiot, też samą dojrzewały prawdę, ale prawdziwym ojcem idei nie jest ten, kto pierwszy ją począł, ale ten kto ją przyswoił, wyniańczył, przedstawił publiczności, wyposażył i nadał byt. Wszystko to uczynił Turgot.

Wprawdzie powiadają, że Descartes napisał na jakimś kawałku papieru, że zupełnie bezzasadnie tak wielką czcią otaczamy starożytne wieki, gdyż czemże są one w rzeczywistości? Oto dziecinnemi latami świata. Tęż samą myśl napotykamy w dziełach Pascal'a, który może nie wiedział, że uprzednio już wyraził ją Descartes. I jego także uderzyła niezaprzeczona prawda, że umysł ludzki postępuje nieustannie, chociaż myśl tu nie zgadzała się z jego systemem, i dla tego pewno nie wielkie przywiązywał do niéj znaczenie. Poświęcił téj idei piękny ustęp, ale nie domyślał się jak wielkie można nadać jéj zastosowanie. Optymista Leibnitz, podnosząc myśl Arystotelesa wierzył w nieustanny postęp nietylko moralnego, ale i materyalnego świata. Według niego wszystkie monady, składające naturę, nieskończonymi i wolnym postępem wznoszą się ku Najwyższemu Bogu, który pociąga je swoją miłością. Nic uczynimy mu zarzutu, jak się to dzieje, że świat dotąd jeszcze w raj się nie zamienił, skoro od wieków już wszystkie te monady wznoszą się tak ku Bogu; odpowiadał on na to swoją teoryą o nieskończoności, że z kolei miriady istot bierze udział w życiu, i dla tego pozostajemy zawsze w wielkiéj od raju odległości.

Takie to teorye doprowadzały do idei postępu. Często także napotykamy tę ideę wyrażoną pod odmienną formą, to jest pod formą życia z różnemi jego przejściami, dzieciństwem, młodością, wiekiem dojrzałym i starością zastosowanych do jednostek zbiorowych, nazywających się ludami. I tu przebija pewne pojęcie postępu, ale zawsze odnośnie do idei, że człowiek jest miarą wszech rzeczy.

Turgot innej szuka podstawy. Nie należy sądzić go wyłącznie z rozprawy, jaką wypowiedział mając zaledwie lat dwadzieścia trzy, ale z dzieła jakie miał napisać, mające być pociechą jego starości, któréj, niestety! nie doczekał. Teoryę Turgota znajdujemy w jego życiorysie skreślonym przez Condorcet'a. Oto idea jego. Każda jednostka rodzi się wolną i rozumną, i w miarę dobrego używania téj wolności, ulepsza się i udoskonala. Nie ulega wątpliwości, że młodzieniec więcéj ma rozumu, woli i działalności niżeli dziecię, że człowiek dojrzały więcéj może zdziałać niż młodzieniec. Później jednostka starzeje się i gaśnie, ale to co zdziałał nie schodzi z nim do grobu, prawda jaką odkrył nie zamiera z nim razem, przemysł jaki wytworzył pozostaje na świecie. Istnieje więc spadek prawd, ulepszeń fizycznych, umysłowych i moralnych, będący wspólną ojcowizną ludzkości. I tak każde pokolenie staje się bogatszem i rozumniejszem od tych co go poprzedzały. Dzisiejsze matki nie z większą czułością i troskliwością wychowują swe dzieci, jak matki żyjące przed tysiącem lat, ale są oświeceńsze i znają lepiéj warunki higieniczne, umieją lepiéj kształcić umysł i serce dziecka, i wiedzą, że wychowują go dla społeczeństwa, w którem nic nie zagraża życiu i własności. Dziś posiadamy nie istniejące

dawniéj warunki dobrobytu, na które skutkiem oswojenia się z naszą cywilizacyą, żadnéj nie zwracamy uwagi, a jednak w jakiż to podziw wprawiłyby Indjanina, gdyby nagle porwano go z głębi olbrzymich lasów Ameryki i przeniesiono do Europy.

I tak najpierw mamy ulepszenia materyalne. Zdaje się to rzeczą bardzo prostą, że wszędzie są brukowane ulice i koleje żelazne, ale któż to je urządził? Ludzie żyjący przed nami i współcześnie z nami: jest to spadek jaki przekażemy naszym dzieciom. Ale to jeden dopiero szczegół, a nie ulega zaprzeczeniu, że w świecie materyalnym, pracujemy dziś wszystkiemi siłami ubiegłych pokoleń;—wszelkie dawne lub tegoczesne odkrycia, o sile pary, ciężkości lub cieple, należą do nas na mocy prawa spadkowego.

Zdaje się nam rzeczą bardzo prostą, że posiadamy książki, ale ileż to upłynęło wieków zanim zdołano utworzyć alfabet, obmyśleć znaki przedstawiające dźwięki. Pierwsi ludzie pisali hieroglifami, lub jak Chińczycy rysunkiem odtwarzali myśli. Aż nareszcie pojawił się człowiek zdolniejszy i rozumniejszy od innych, ten dokonał wielkiego przewrotu, i dziś dziecko uczące się na elementarzu, który nieraz oblewa łzami, ani się domyśla, że w téj małéj książeczce wielkie dziedziczy bogactwo. Następnie, ileż to znów upłynęło czasu, zanim wynaleziono liczby; wszak to bardzo jeszcze nie dawny wynalazek. Tak dzieje się ze wszystkiem; nieustannny postęp materyalny zapewnia korzyści następującym po sobie pokoleniom z warunkiem, aby unikały wywrotów i wojen, które są najzaciętszym jego wrogiem.

I postęp intellektualny równie wielkim posuwa się krokiem. Czytając ogłoszenie nowéj uproszczonej metody czytania, lub możności nauczenia się pisać w 24 lekcyach, ani nam przyjdzie na myśl, że jéj twórcy są prawdziwymi dobroczyńcami ludzkości; – człowiek bowiem któryby wynalazł sposób prędszego nauczenia się czytać, oddałby ludziom prawie takąż samą usługę jak wynalazca alfabetu. Każda uproszczona metoda, wszelkie ułatwienie nauczania, każdy nowy sposób podnoszenia umysłu ludzkiego, jest skarbem obecnego, bogactwem przyszłych pokoleń.

Najtrudniéj pojąć i określić postęp moralny; zbyt rozpowszechnionem jest mniemanie, że już w zaraniu świata moralność była zupełnie doskonałą. Tak jest, w sercu człowieka leży zaród moralności równie jak i wszelkich cnót, ale chcąc je udoskonalić trzeba pracować nad sobą;—świadczą o tem wymownie powyżéj przytoczone przykłady. Wytrwałe usiłowania człowieka nad uszlachetnieniem własnego serca, nie tylko współczesnym mu ale i przyszłym pokoleniom bujne zapewniają plony.

Sto lat temu, za panowania Ludwika XVI, w paryzkim szpitalu Hôtel-Dieu, umieszczano po dwóch chorych w jednem łóżku, i jeśli jeden umierał w ciągu dnia, drugi leżał obok trupa do dnia następnego. Dziś nas to oburza, wtenczas wydawało się bardzo naturalnem. I komuż ludzkość zawdzięcza zaniedbanie tego wstrętnego zwyczaju? Doktorom, ludziom z rozumem i z sercem, którzy wykazali jak jest okrutnym i nieludzkim.

Obok moralnego i umysłowego, Turgot przewidywał także postęp polityczny, i wierzył, że w miarę udoskonalania się umysłu ludzkiego, potrafimy sprawiedliwiéj ocenić i wykazać warunki dobrego rządu. Jak pod względem moralnym upatrywał ciągły postęp, i nie wahał się twierdzić, że najgorsi z jego współczesnych, byli jeszcze daleko lepsi od ludzi zeszłowiecznych, tak i pod względem politycznym cieszył się nadzieją, iż nadejdzie chwila, kiedy wolność, równość i braterstwo, staną się wspólnem wszystkich ludzi dobrem. Nie zapominajmy, że on to pierwszy, będąc ministrem, domagał się i zaprowadził wolność handlu i wolność dowozu i wywozu zboża, że on pierwszy zapragnął wyzwolić świat z ujarzmiającego służalstwa. Nie dość na tem, domagał się aby uczono ludzi lepiéj znać swe prawa i obowiązki, i zaprowadzaniem rozumnych reform polepszono los biednych, zamieniając ich w pilnych i niezależnych pracowników.

Oto wielka i piękna myśl przewodnicząca Turgot'owi, w życiu jego całem. Nie było człowieka któryby goręcéj ukochał ludzkość, i w tak krótkiem życiu wygłosił więcéj pięknych idei mających zapan ować w przyszłości, więcéj zbawiennych reform, które wprowadzone w życie, byłyby nie dopuściły strasznéj rewolucyi. A jednak niewdzięczna potomność niczem dotąd nie umiała mu się odpłacić, i gdy nie dawno temu dziennik jakiś francuzki, zawnioskował postawienie mu pomnika, zebrano podobno dwanaście podpisów. Gdyby ten Turgot, wzorem przodków swoich Normandów, posiadał był wielkiego konia i wielki pałasz, gdyby wytępiał całe pokolenia, mordował matki i dzieci, o! wtedy już od dawna postawionoby mu pomniki na czterech krańcach Francyi.

Gdyby dziś zaczęto wznosić narodowe Panteony, należałoby wyznaczyć w nich miejsca dla ludzi ginących w obronie ojczyzny, bo słusznie zasługują na cześć i uwielbienie; większą jednak jeszcze trzebaby oddzielić przestrzeń dla tych, co życie całe poświęcili dobru ludzkości, i zapewnili nie tylko pomyślność obecnych, ale i dobrobyt przyszłych pokoleń.

Turgot umarł w 54 roku życia; pozostawił dwóch uczni, dwóch apostołów, którzy podzielili się płaszczem mistrza. Jeden z nich Dupont de Nemours, w dziele swojem *„Życie Turgot'a"* wykazał wszelkie ulepszenia ekonomiczne i społeczne, jakie dokonał i zamierzał dokonać dobroczynny ten geniusz; drugi, Condorcet, wziął w udziale filozoficzny spadek po zmarłym mistrzu, i starał się przyoblec w ciało jego myśli.

Condorcet, jest jedną z najszczególniejszych i zarazem najsympatyczniejszych postaci XVIII-go stulecia. Pod zimną powierzchownością i przedwcześnie posiwiałémi włosami, człowiek ten ukrywał ognistą duszę; d'Alembert nazywał go wulkanem pokrytym śniegiem. Odznaczając się szlachetnością i nieugiętością charakteru, jako członek Akademii nauk, powinien był powiedzieć mowę pochwalną na cześć księcia de Vrillière, ale nie chciał na to przystać, mówiąc: że nie może głosić pochwał człowieka, który całe życie pisał rozkazy uwięzienia. I nic nie pomogło naleganie pierwszego ministra, p. de Maurepace, Condorcet odmówił, nie zważając jak wiele go to kosztować może.

Condorcet składał na ołtarzu Rewolucyi, swoje idee powszechnego ulepszenia, z których najdroższą mu była, zapewnienie kobietom równości praw politycznych. Jakże to gorąco pragnął urzeczywistnienia téj ukochanéj swojéj idei, a to co pisał o niéj, jest najrozsądniejsze, najrozumniejsze, najwymowniejsze może ze wszystkiego co dotąd napisano w tym przedmiocie.

(d. c. n)

DEPOZYT

POWIEŚĆ

PRZEZ

WALERJĄ MARRENÉ.

(*Dalszy ciąg*).

Chwilę walczył z sobą, aż odpowiedział jej zwolna. Czy sądzisz Helenko że miłość jest powszednim chlebem życia, czy sądzisz, że piękna twarzyczka i czyste serce wystarcza by ją zdobyć? W dzisiejszym świecie miłość wyszła z mody, każdy prawie wyrzeka jej się z góry, lub chce wyzyskać i skierować do celów swoich, a jednak to najpiękniejszy klejnot życia, dla wzbudzenia jej trzeba może być czemś więcej niż ładnem rozpieszczonem dzieckiem, jakiem ty dotąd jesteś Helenko.

Westchnęła, jakieś nie wyraźne myśli snuły się po jej pięknej główce, chciała jeszcze o coś zapytać, ale pan Arnold zapadł znowu w zadumę, zresztą ona sobie nie formułowała nic wyraźnie, miała pełno przeczuć a mało bardzo realnych poglądów, przykład rodziców znaczył dla niej wiele, czuła się zapewne w prawie być kochaną tak jak nią była jej matka, czuła że w życiu należało jej się wiele rzeczy, ale nie zdawała sobie sprawy jakie w zamian ona miała obowiązki względem życia, nie nauczono jej tego.

Hieronim powrócił do siebie i przechadzał się po pokoju nierównemi krokami: cierpiał i buntował się przeciw temu cierpieniu i jak niegdyś według legendy, bohater Rzymski kładł rękę w ogień by ją ukarać za to że się omyliła, on pragnął ukarać serce swoje za tę niebaczną miłość. Stało się, zerwał z nią, a jednak drgała mu ona w piersi, kusiła jeszcze do odstępstwa. Z tem większą gorączkową siłą rzucał się na nową drogę: przecież czuł, że w tym świecie do którego zstępował spotyka go nieufność, że będzie w nim obcym przybyszem cierpianym niechętnie. Wszak Pliszka wypowiadał mu to otwarcie, wszak im więcéj chciał się zbliżyć nawet do téj jednéj rodziny, czuł że zwiększała się co chwila dzieląca ich zapora. A jednak chciał koniecznie zawrzeć przymierze z ludźmi, do których pociągały go ich cierpienia, chciał poświęcić im czas swój, życie, zdolności. Jeżeli jednak tego wszystkiego będzie za mało, jeśli nie zdoła zdobyć sobie prawa obywatelstwa pomiędzy nimi i usiłowania jego spełzną bezużytecznie? Pliszka który go znał przecież, roześmiał mu się w oczy gdy zwierzył się z zamiarów swoich, czyż mógł się spodziewać gdzieindziej lepszego przyjęcia? W głębi ducha jego budziło się przekonanie, iż ażeby zdobyć wiarę ludzi, których nieszczęście nauczyło nieufności, trzeba było więcej niż słów, należało mu uczynić krok niepowrotny, złączyć się nierozerwalnym węzłem z temi, których chciał oświecać i bronić od pokusy niesprawiedliwości.

Hieronim nie należał do rzędu ludzi cofających się przed konsekwencyą myśli, słowo i czyn były u niego jednoznaczne, więc nie zastanawiał się długo. Na drodze którą obrał sobie stała przeszkoda, postanowił ją usunąć. Była to szczególna natura kryjąca szalone siły pod powierzchownym chłodem, nieugięta dla drugich jak i dla samego siebie. Namysł jego był krótki, jeśli w sercu jego budził się żal, jeśli cudna postać Helenki z oczyma łez pełnemi stała mu w myśli, odsunął niemiłosiernie ten obraz, wszak teraz mógł ukarać buntujące się serce i razem otworzyć sobie drogę czynów: nie wahał się więcéj.

Ze zwykłym spokojem wydobył strojniejsze suknie, ubrał się starannie, i rzuciwszy okiem w przeciwległe okno Pliszków, zgasił lampę, zamknął drzwi na klucz i udał się do nich.

Pierwszy to raz od dnia gdy wraz z cieślą oglądali puste mieszkanie, Hieronim wchodził tutaj. Może lękał się obecnością swoją przyjęcia że on to płacił za nie, może miał inne przyczyny, dość że wolał spotykać się z Pliszką na dziedzińcu niż w domu.

Obecność więc młodego człowieka zdziwiła całą rodzinę. Józi nie było w domu, przeciw zwyczajowi miejsce jej było puste, a wieczerza czekała aż ona ugotować ją przyjdzie.

Pliszka powitał go pół chmurnie pół uprzejmie według zwyczaju swego, przecież wziął drewniany stołek stojący w kącie, okurzył go starannie i podał gościowi swemu.

Hieronim zapytał troskliwie o zdrowie staréj kobiety wysłuchał jej długich skarg, zachęcił do cierpliwości, dodając dobrej otuchy, pogłaskał małe dziewczynki bawiące się w kącie, a potem dopiero zapytał o Józię....

— Wyszła odnieść robotę, odparła matka, ale powinnaby już powrócić.

— Tak powinnaby powrócić, dorzucił Pliszka, czy pan masz do niej jaki interes.

I zwyczajem swoim zmierzył nowo przybyłego nieufnem okiem.

Hieronim zdawał się namyślać.

— Tak jest, odparł po chwili podnosząc na rzemieślnika nie zmącone oczy, chociaż lepiej może iż prośbę moją, naprzód wam rodzicom przedstawię.

Wstęp ten był niezwykłym, było coś uroczystego w ubraniu i obejściu jego, co zwróciło uwagę Pliszki:

— Pan masz do nas prośbę? zapytał szorstko, wszak wiesz dobrze, iż masz prawo tu rozkazywać.

— Panie Pliszka, zawołał Hieronim, wysłuchaj mnie naprzód, przyszedłem prosić cię o rękę twojej córki.

Grom spadły nagle w tym domu, nie byłby uczynił większego wrażenia, jak ta niespodziana propozycya. Maryanna probowała złożyć bezwładne ręce i wzniosła oczy w górę z wyrazem radośnego osłupienia. Dla niej było to niespodziane szczęście, Hieronim wydawał jej się co najmniej tajemniczym księciem, dwie małe dziewczynki zrozumiały nawet że idzie o coś ważnego bo rzuciły lalkę i wpatrywały się ciekawie w tego pięknego pana; sam Pliszka zerwał się z miejsca.

— Pan chcesz się żenić z Józią, zapytał jakby niepewny czy dobrze usłyszał

— Tak jest, jeśli ona i wy przystaniecie na to, cóż w tem tak bardzo dziwnego?

— Dziwnego, powtórzył, pan chyba mylisz się co do czasu, wszak wiesz dobrze iż dziedzictwo Grzegorza Pliszki przepadło dla jego rodziny, wszak wiesz, że Józia nic nie ma w wianie prócz nędzy naszej...

Hieronim wysłuchał cierpliwie tego wybuchu.

— Panie Pliszka, odparł spokojnie, sądziłem iż do tej pory poznałeś mnie dość dobrze by wiedzieć, że to właśnie zachęcić mnie może do tego związku.

— Nie, zawołał cieśla, ja pana nie znam i zrozumieć nie mogę, dla czego jeden idziesz wbrew światu, dla czego szukasz tego czem on pogardza, uciekasz od jego blasków.

Hieronim uśmiechnął się lekko.

— Gdybyś mnie pan znał dokładnie, wyrzekł, przestałbyś się temu dziwić.

— Być może, być może, więc wytłomacz mi pan dla czego ze swoim stanowiskiem i wychowaniem chcesz ożenić się z moją córką?

— Naprzód stanowiska nie mam żadnego powiedział łagodnie młody człowiek.

— Cóż ztąd, pan w swoim świecie znalazłbyś z łatwością bogatą żonę, mówiłem to już i powtarzam.

— Więc upierasz się koniecznie zachować ten rozdział, na który ja nie przystaję, wyrzekł Hieronim. I w czemże kobiety tego świata wyższe są od panny Józefy?

— Niech pan sobie mówi co chce, odparł Pliszka, a ja wiem, że równość przywyknień i poglądów jest konieczną w małżeństwie.

— Więc sądzisz, zawołał gorączkowo Hieronim, że te wystrojone lalki zamiatające błoto uliczne sukniami, a straszące wróble napiętrzoną fryzurą, mają poglądy jakie? Że te istoty spoglądające z góry swego niedołęztwa, na użytecznych członków społeczeństwa, więcej są warte serca uczciwego człowieka niż twoja córka? Jesteś pan znowu niesprawiedliwym ale tym razem względem samego siebie.

Pliszka wstrząsnął głową, rozsądek wskazywał mu przesadę tego rozumowania.

— Czy nie bierzesz pan przypadkiem, zapytał, pozoru za istotę rzeczy?

— Pozoru? powtórzył młody człowiek, tam wszystko jest pozorem i fałszem. Nie znasz pan wnętrza tych głów potwornie przybranych: powierzchowność odpowiada treści, nie znajdziesz tam pan jednej zdrowej myśli, jednej loicznej zasady. I nie dziw, to nie ich wina, istoty te są tem czem być mogą, czem zrobiło ich fałszywe wychowanie, zgubne pojęcia ich matek i ojców. Czy patrzyły one na domową pracę, na wzajemny szacunek rodziców, na jaki bądź zdrowy, jasny cel życia? Czy nauczono ich że są inne obowiązki do spełnienia na świecie, niż bawić się i błyszczeć? Czy dla nich suknia z pierwszego magazynu, bal, kareta, loża a wreszcie mąż bogaty, nie jest alfą i omegą bytu? Ja zerwałem z tym światem na zawsze, nie chcę z nim mieć nic wspólnego. Ja chcę żony coby znała wartość pracy z doświadczenia, i umiała ją szanować, chcę pomocy w życiu, towarzyszki trosk i trudów, córki zacnych rodziców, i dla tego proszę was o rękę panny Józefy.

Mówił to ze spokojnym zapałem, stanowiącym treść jego charakteru, spoglądając błyszczącemi oczyma na Pliszkę i na żonę jego, oni nie mogli zrozumieć zkąd pochodziło tyle goryczy. Kobieta gotową była uchwycić rękę jego i przystać na wszystko: wstrzymywał ją tylko wzrok męża.

— Nazwałeś mnie pan zacnym człowiekiem, wyrzekł ze zwykłą szorstkością, ja powinienem na to zasłużyć, więc posłuchaj mnie. Czy jesteś pewnym że w sercach ubogich dziewcząt, nie znajdziesz tych samych zachceń? Cóż pan chcesz kobiety są zawsze kobietami, i moja Maryanna kiedyś przepadała za strojem, a Józia płacze że mieć go nie może. Nie bierz niepodobieństwa za cnotę.

Rzemieślnik mówił prawdę, ale Hieronim usłuchać go nie chciał.

— Panna Józefa, przerwał, pracą swoją utrzymuje wraz z tobą panie Pliszka całą rodzinę, więc mam dla niej szacunek, którego żadna panna z mego świata jak go nazywasz, wzbudzić nie potrafi. Życie jej jest twarde i bez uśmiechów, więc nie dziw że czasem zapragnie tego czego posiąść nie może.

Cieśla milczał czas jakiś, jakby ważył w myśli usłyszane słowa.

— Janie, Janie, zawołała kobieta, czego ty chcesz więcej, czemu zagradzasz szczęście córki?

Mąż spojrzał na nią smutnie łagodnie zarazem.

— Szczęście, powtórzył miękkim głosem, ja znalazłem go z tobą, prawda że my byliśmy równi sobie, a pan panie Hieronimie, dodał zwracając się do niego, pan wiesz tysiące rzeczy, o których nie śniło się nawet biednej Józi.

— Panna Józefa, odparł, jest dzieckiem jeszcze, może i powinna uczyć się wiele, ale przynajmniej nie potrzebuje nic zapominać, jak inne, których głowy zapełnione są fałszywemi ideami, panna Józefa wie jak wygląda świat realny, to więcej, wierz mi pan niż szczupły zakres pseudo nauki, stanowiący zwykłe wiadomości światowych kobiet. Jeszcze raz panie Pliszka, powiedz otwarcie co masz przeciwko mnie, bo ja pragnę ci być synem.

Pliszka był zwyciężony, daremnie silił się na nieufność, Hieronim pokonał go ostatecznie.

— Ha, wyrzekł, nie ma rady, skoro chcesz pan wejść w rodzinę nędzy, ja ostrzegałem cię, jam uczynił swoje: przeciwko tobie nic mieć nie mogę.

I podał mu szorstką rękę, drżącą prawdziwem uczuciem.

— Ależ gdzie Józia? dodał niecierpliwie, oglądając się w koło.

Nikt nie odpowiedział, Hieronim pochylił się ku starej kobiecie, ona patrzyła na niego zwilżonemi oczyma, na ustach jej drgało pytanie.

„Czy kochasz moją córkę?„ Ale niewypowiedziała go. Czyż fakt sam nie był odpowiedzią. Kto poślubia ubogą dziewczynę, ten kochać ją musi, matka Józi zapatrywała się na rzeczy z tego loicznego punktu, uczucia i myśli Hieronima leżały zupełnie po za granicami jej pojęcia. Ten zięć jednak spadający tak nagle z obłoków, budził w niej poszanowanie i obawę, nie śmiała uściskać go po prostu, jakby to uczyniła z Andrzejem, ani radzić z nim o domowej biedzie, i gwarancyach przyszłości. Pliszka miał słuszność: daremnie zjednoczyć się chcieli, dzieliły ich przepaście.

Hieronim jednak nie chciał tego dostrzedz, bo z przybraną swobodą, mówić zaczął o swoich zamiarach, o zasobach jakie posiadał, jedne i drugie były skromne, jednak rodzinę mogły chronić od nędzy a przy szczęśliwych okolicznościach doprowadzić do dobrobytu.

Czas mijał, Józia nie powracała, niecierpliwość Pliszki zaczęła mieszać się z niepokojem. Zapytał żony w którą stronę poszła, kobieta nie umiała go objaśnić dokładnie. Wreszcie zabierał się wyjść aby szukać na oślep, Hieronim go zatrzymał.

— Ja, wyrzekł, pójdę za pana, idąc do biura nieraz spotykałem pannę Józefę idącą w tę samą stronę, musiała tam odnosić robotę.

Wziął paltot kapelusz i wyszedł na ulicę, daremnie jednak błąkał się po mieście, bo w chwili właśnie gdy przestępował bramę, dziewczyna bocznemi wschodami zbiegła z pierwszego piętra na dziedziniec, obejrzała się w koło trwożnie i poszła do mieszkania rodziców. Jednak gdy wstępowała na górę, krok jej stawał się coraz bardziej powolnym, aż zatrzymała się chwilę pode drzwiami, i stała w miejscu, niby namyślając się co ma uczynić.

— Kto tam? zawołał niecierpliwy głos.

— To ja, odparła cicho, wsuwając się do pokoju.

Ale gdy weszła, gdy spostrzegła wszystkie oczy na siebie zwrócone, zarumieniła się i spuściła wzrok do ziemi zmieszana. Przecież na twarzach rodziców jaśniała pogoda, widocznie mieli jej donieść jakąś wesołą nowinę, ona jednak zdawała się czegoś lękać i obawiać.

— Gdzież byłaś tak długo? zapytał ojciec.

— Ja, bąknęła zdejmując okrycie, kapelusz i krzątając się po pokoju, ja mój ojcze, czekałam na pieniądze.

Tłomaczeuie to było loiczne.

— Czy niespotkałaś pana Hieronima? dodała matka.

To proste pytanie przeraziło Józię.

— Dla czegoż spotkać go miałam? wyrzekła niespokojnie, zabierając się do gotowania kolacyi.

— Bo poszedł ciebie szukać?

— Ciekawam bardzo, odparła, co panu Hieronimowi do mnie?

Nastała chwila milczenia, Pliszka powstał, wziął córkę za rękę i przyprowadzając ją do matki wyrzekł.

— Pan Hieronim chce się z tobą ożenić.

Ale ta wiadomość nie uczyniła wcale spodziewanego wrażenia.

— Hm! jeszcze czego, mruknęła wzruszając ramionami.

I nie zważając na rodziców, zakręciła się znowu koło komina.

Pliszka spoglądał na nią zdumiony..

— Cóż to mówisz? zapytał gniewnie.

— A nic, odparła.

— Czy słyszysz, powtórzył ojciec, że pan Hieronim chce się z tobą żenić?

— Słyszałam, wyrzekła pogardliwie, przecież nie jestem głuchą.

— I cóż wybuchnął Pliszka, czyż to jeszcze mały los dla ciebie? Nie chciałaś patrzeć na Andrzeja, mówiłaś że czuć od niego skórę, dratwę i kopyto, czegoż chcesz więcej?

— Ciekawam, cóż tak świetnego ofiaruje mi pan Hieronim? Przecież i on słyszałam dostał dymissyę i chce zostać szewcem czy stolarzem.

— A za kogóż ty myślisz pojść, szalona dziewczyno, za jakiego księcia, królewicza, co?

— Może i tak, wyrzekła zuchwale Józia, w której dnia tego zaszła jakaś szczególna przemiana. Czy myślicie że już nie uprzykrzyła mi się bieda, czarny chleb, głód, zimno i robota, robota od świtu do północy?

Mówiąc to usiadła na ławce, a łzy gorące rzuciły się z jej oczów.

Matka widząc ukochaną córkę płaczącą, zwlekła się z tapczanu, zbliżyła do niej chwiejącym krokiem i objąwszy jej głowę ustrojoną w lśniące warkocze, tuliła ją do siebie, nie pytając więcej o nic. Pliszka patrzał na to pochmurny, gniew wrzał w jego piersi, więc nie zważając na żonę wyrzekł hamując się z trudnością. Ty chyba zwarjowałaś Józiu.

Ale dziewczyna nie mogła odpowiedzieć, rozszlochała się na dobre. Zdawało się że leżały jej na sercu jakieś bóle nieopłakane dotąd, może miała powody łez nieznane nikomu, których nie chciała wyjawić, dość że długi czas upłynął, za nim się uspokoiła. Ojciec stał naprzeciw niej i patrzał ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma.

— No cóż, wyrzekł wreszcie, czy powiesz mi w końcu co to wszystko znaczy?

Józia spuściła głowę.

— Mój ojcze, odparła z przestrachem, rób co chcesz, a ja nie pojdę za pana Hieronima i nie pójdę, zawołała uderzając gwałtownie nogą o ziemię.

— Daj że mi jaką rozsądną tego przyczynę. Czy ty myślisz że nie warta jesteś jego?

Pomimo trwogi Józia zarumieniła się, tak jak gdyby krew trysnąć miała z jej czoła.

— Wiem żem nie warta, szepnęła.

— To dobrze, przynajmniej oddajesz sobie sprawiedliwość lepiej od niego, nie wiedzieć czemu prawdziwie wśród tylu innych on cię wybrał, a ty...

— A ja, odparła szybko, odrzucam go, niech on żeni się lepiej z tą piękną panną z pierwszego piętra, co za nim przepada.

— Zkąd ty wiesz, zawołał ojciec, o pięknych pannach i ich uczuciach?

— Odnosi się robotę, szepnęła, to się i widzi.

— Ta dziewczyna przyprowadzi mnie do rozpaczy! wrzasnął Pliszka, podnosząc mimowolnym ruchem rękę na córkę.

Ale pomiędzy nim a Józią, stanęła wychudła postać żony.

— Nie gniewaj się na nią Janie, wyrzekła błagalnie.

On objął ją łagodnie, gniew jego zmiękł odrazu i prowadząc ją na zwykłe miejsce dodał smutnie.

— Psujesz ją Marjanno, to się źle skończy.

— Nie gniewaj się ojcze, zawołała dziewczyna ośmielona, kto to wie, pokieruję się ja może lepiej niż sądzisz.

Pliszka wstrząsnął głową.

— Oj pokierujesz ty się pokierujesz, westchnął, ale gdy to poznasz będzie za późno, ty o niczem nie wątpisz, jak każde głupie dziecko.

W głosie jego była czułość, dziwna w tym szorstkim człowieku, może gotów był przycisnąć córkę do piersi, wysłuchać nawet jej marzeń szalonych, i stać się jej tarczą przeciw pokusom życia, Józia nie zrozumiała tej chwili, nie umiała z niej skorzystać, serce jej nie otworzyło się dla niego owszem, zrozumiała że nadużyć może ojcowskiego przywiązania i wyrzekła zuchwale.

— Jak pokieruję to pokieruję, to ja przecież nie wy pokutować będę.

Pliszka popatrzył na nią przez chwilę z litością i gniewem.

— Milcz wyrzekł tylko, wskazując jej matkę, powinnaś mieć dla niej szacunek.

Głos jego był cichy, ale oczy pałały takim wyrazem, że Józia umilkła przestraszona, on sam jakby wysilony, rzucił się na krzesło obok żony, i resztę wieczoru przesiedział milczący.

Hieronim po próżnej przechadzce po ulicach powrócił późno, brama była zamknięta, zadzwonił i zapytał otwierającego mu stróża, czy powróciła młoda haftarka.

— Co! ta dziewczyna z trzeciego piętra? odparł zagadniony, nie wychodziła wcale dziś wieczór.

— To być nie może nie uważaliście chyba.

Stróż wzruszył ramionami.

— Widziałem ją, wyrzekł, jak szła na górę temi wschodami i nie dawno ztamtąd wróciła.

Hieronim nie wyrzekł nic, wschody które mu stróż wskazywał, stanowiły drugie wejście do mieszkania Kalińskich. Ignaś najczęściej schodził tamtędy, rzucił chmurnym wzrokiem w okna apartamentu pierwszego piętra, wszystkie były ciemne, tylko u Ignasia świeciła się lampka. Powrócił wprost do siebie, zbliżył się do okna, skronie jego pałały, spojrzał na przeciwko, Józia krzątała się po pokoju, widać więc objaśnienia stróża były prawdziwe. Co to miało znaczyć? Mały na pozór, nic nie znaczący fakt, zapalił burzę w jego myśli. On z tą dziewczyną był związany uroczystym krokiem uczynionym dziś wieczór, a tymczasem, w chwili właśnie gdy ofiarował jej rodzicom imię swoje i rękę, gdzież ona była? Serce jego zaległ smutek dziwny, wszak on czynił ofiarę życia, ofiarę szalonych uczuć w zamian miał prawo żądać czystego serca i dobrej woli: miałże na pierwszym wstępie spotkać się ze zdradą i hańbą?

Myśli jego wirowały w głowie, wspomniał cierpieniem złamaną matkę, szorstką, i szlachetną indywidualność ojca, czemuż córka nie była do niego podobną? Czego mogła szukać po za gniazdem rodzinnem, ona tak piękna, łagodna, czysta dotąd; miałaż uledz pierwszej pokusie? Uczuł gorycz, jakby spotkała go obraza śmiertelna, przecież on nie kochał tej dziewczyny, ona była dla niego obroną przeciw własnemu sercu, łącznikiem pomiędzy nim a ludźmi którym poświęcić się pragnął, ona lub każda inna, wybierając ją nawet, myślał o jej ojcu. Był to pierwszy zawód spotkany na stanowczym progu, kto inny byłby się cofnął *może*, ale Hieronim nie zachwiał się przeciwnością, i po pierwszej chwili pomyślał prawiedliwiej o biednej dziewczynie. Winną była, jak wszystko co upada, winną w obec rodziny, społeczeństwa i własnego sumienia, ale najmniej winną względem niego. Wszak nie przemówił do niej nigdy słowa jednego, przeciwko któremu postępek jej byłby przeniewierstwem: wszak nie znała zamiarów jego; nie zawiodła zaufania, on przeciwnie nie miał prawa skargi. A teraz cóż winien był uczynić?

Przypadkiem stał się panem tajemnicy biednej dziewczyny, więc miał obowiązek ratować ją, bronić przeciw samej sobie, i oszczędzić przynajmniej Pliszce boleści poniżenia.

(d. c. n.)

Połączona praca kobiet.

Sic vos, non vobis...
Virgilius.

Na samą wieść o mającej się zawiązać spółce połączonej pracy kobiet, pośpieszyliśmy z serdecznem uznaniem i zachętą, aby myśl ta, tak będąca na czasie, jak najrychlej w czyn się zamieniła. Jeśli bowiem, skutkiem anormalnych okoliczności, mężczyznom trudno jest zapewnić sobie już nie tylko dobrobyt, ale najskromniejsze utrzymanie, cóż dopiero mówić o kobiecie przy dzisiejszych warunkach społecznych? Na każdym kroku czycha na nią albo nędza ze strasznym widmem głodu, albo stokroć gorsze spodlenie moralne. Jedynem a skutecznem na to złe lekarstwem okazała się *praca*, wszystkie inne środki, mające swoje źródło w równouprawnieniu kobiety z mężczyzną (emancypacya), dopiero z czasem wydać mogą pożądane owoce. Na teraz dajmy jej tylko pracę, aby mogła żyć, ale żyć uczciwie bez nadmiernego wyczerpania sił fizycznych.

Prawdziwym będzie dobroczyńcą ludzkości ten, kto jej takiej pracy dostarczy.

Dotychczas przecież przy dostarczeniu pracy kobiecie zawsze miał przewagę kapitał; pracownice w fabrykach wszelkiego rodzaju *białemi są murzynami*, którym zabrano wszystek czas i wszystkie wyzyskiwano siły, broniąc je za to od głodowej śmierci. Nie ma się tu względu ani na życie rodzinne, ani na przeznaczenie kobiety, jako matki i żony, ale staje się ona tu kółkiem większej lub mniejszej machiny pracującej na korzyść wszechpotężnego kapitału.

Cóż tu mówić o moralności kobiet pracujących ciężko, bez najmniejszego wytchnienia przez cały tydzień? Dni świąteczne są dla wielu nie dniami wypoczynku i niewinnej rozrywki w kółku rodzinnem, lecz dniami szału, a nierzadko zapomnienia się. Pod tym względem kobiety są zupełnie równouprawnione z mężczyzną, w podobnych warunkach znajdującym się.

Gdy tak się rzeczy mają nie tylko za granicą, ale i u nas, ucieszyliśmy się wielce z powodu zapowiedzianej *połączonej pracy kobiet*, mając to prze-

konanie, iż stowarzyszenie tego rodzaju, dobrze pomyślane i dobrze pokierowane, wyswobodzone od ujemnej strony fabrycznego lub magazynowego życia, stanie się prawdziwą kotwicą zbawienia, dla licznego zastępu kobiet domagających się pracy, a nie chcących lub nie mogących zaprzedać się jakiej eksploatorce lub eksploatorowi, którzy, mówiąc nawiasem, włożywszy swój kapitał w jakie handlowo-przemysłowe przedsiębierstwo nie mają innego punktu wyjścia.

Połączona praca kobiet, jak to wnosić należało z pośrednich lub bezpośrednich napomknień założycieli i założycielek, nie miała być zwykłą przemysłową spółką kilku osób, mających na celu korzystne użycie swoich kapitałów, ale zjednoczeniem się tak kapitału jak i pracy przy równym podziale otrzymanych ztąd zysków. Mówiąc jaśniej, mieliśmy powód spodziewać się, że członkowie tego stowarzyszenia będą mieli zapewniony sobie stosowny procent od tegoż kapitału, dający zaś pracę nie będą wyzyskiwani na korzyść owego kapitału, dający zaś kapitał i pracę będą mieli udział w korzyściach, jakie przyniesie i jedno i drugie. Takie stowarzyszenie nie będąc filantropijnem, stałoby się prawdziwem dobrodziejstwem dla naszego miasta, miałoby świetną przyszłość przed sobą, zapewniłoby jego założycielom nie tylko materyalne korzyści, ale niepożytą zasługę obywatelską; staliby się oni przywódcami istotnego społecznego postępu, jakiegoby nam pozazdrościły inne miasta, wyżej od nas stojące pod względem cywilizacyjnym.

Jakoż po niecierpliwem oczekiwaniu, gdy formalności prawne i zatwierdzenie ze strony właściwej władzy dokonanem zostały, myśl stała się czynem.

Zakład połączonej pracy kobiet otworzony został przy rogu ulicy Marszałkowskiej i Chmielnej N. 28.

Winniśmy zatem donieść czytelnikom naszym o losach pod powyższą firmą ukonstytuowanego stowarzyszenia, i o ile ono odpowiedziało powszechnemu oczekiwaniu.

Z przykrością przychodzi nam oznajmić, że zaraz z początku zakład ten wywołał żywą polemikę w prasie warszawskiej. Pojawiające się w niej krytyczne głosy, odpierała odpowiedź szorstka, niekiedy ironiczna ze strony założycieli lub ich przyjaciół. Zarzucali oni sprawozdawcom warszawskim, iż krytykują przedmiot, którego nie znają, a znać nie mogą nie przeczytawszy urzędowego kontraktu regulującego warunki i zobowiązania tak założycieli, jak stowarzyszonych. Trzeba przyznać, iż tak było w istocie, większa część zarzutów czynionych spółce była gołosłowną, jątrzyła obiedwie strony bez żadnego pożytku dla ogółu.

Zajrzano więc do owego kontraktu, na który się głównie powoływali zaatakowani założyciele spółki; przeczytano i rozebrano paragraf po paragrafie, i... rzecz dziwna poznanie kontraktu nie wypadło na korzyść założycieli połączonej pracy kobiet. Ktokolwiek bezstronnie zechce się zapatrywać na ten kontrakt przyznać musi, że tu nie chodziło o polepszenie losu biednych pracownic, ale o jak najpewniejsze i najkorzystniejsze zagwarantowanie założycielom ich kapitalików. Większa część zarzutów czynionych przez dzienniki warszawskie okazała się usprawiedliwioną, a mianowicie, że spółka p. p. k. jest zwykłą spółką przemysłowo-handlową, która jeśli ma za sobą tę dobrą stronę, iż dostarcza roboty kobietom, a szczególniéj mogącym pracować jedynie w domu swoim, za to nie może i nie powinna rościć pretensyi do bezwarunkowego poparcia ogółu, a tym bardziéj do pozyskiwania legatów, jakoby dla polepszenia losu biednych pracownic.

Ta wzmianka o legatach jest, co najmniéj śmieszną.

Kardynalnym grzechem tej spółki, za szumnie przezwanéj zjednoczonej pracy kobiet, jest przewaga dana kapitałowi, nie pracy. Oh, ten stosunek kapitału do pracy, to jedyna przyczyna wszystkich nieszczęść, wszystkich przewrotów społecznych, czego dowodem wypadki na Zachodzie.

Jeśli spółka warszawska, chciała być postępową, chciała oddać przysługę tutejszemu społeczeństwu, to powinna była uwzględnić rozdział zysków, wytworzonych pracą przy współdziałaniu kapitału. Tak się jednak nie stało. Tu im większy kto złożył kapitał, tém więcéj zyskuje, chociay wcale nie pracował dla dobra spółki. Tu na pierwszem miejscu stają założyciele, daléj udziałowi spólnicy, którzy po sto rubli złożyli, a na szarym końcu dopiero pracownice ze swojemi 15-o rublowemi wkładkami.

W bezprocentowych depozytach biednych robotnic, w sposobie wypłacania wkładek z przypadającemi zyskami, wreszcie w ubezpieczeniu powierzonych spółce pieniędzy, wszędzie przewaga kapitału w ogóle, a założycieli w szczególe. Biedne pracownice są tu środkiem nie celem: Sic vos non vobis.

Zarzuty wymotywowane paragrafami kontraktu, jasno kwestyę postawiły, jasno więc i kategorycznie, należało na nie odpowiedzieć, jeśli nie chciano tumanić ogółu czczemi frazesami.

Tymczasem jedna z założycielek występując w imieniu całéj spółki z piśmienną obroną, na żaden zarzut nie odpowiedziała, ale powołała się na brak doświadczenia na téj trudnéj drodze. Utrzymując, iż żadne dzieło od razu doskonałem być nie może, broni spółkę od podrzędnych, małoznaczących niedogodności, od których rzeczywiście żadna początkująca spółka wolną być nie może. Kwestyę główną, jakby nie istniała wcale, pominięto milczeniem, a odpowiedziano na to, o co się nikt nie pytał. Przyznanie się skromne do niedoświadczenia właściwego kobietom po raz pierwszy, występującym w tak doniosłego znaczenia dziele, jest poprostu *captatio benevolentiae*, niczem przecież nieuzasadnione, bo na trzy założycielki dwóch jest mężczyzn, i to znających dobrze rachunek; ci wiedzieli dobrze, czego chcą i do czego dążą. Założycielki niepotrzebnie za swoich towarzyszów całą solidarność moralną przyjmują. Nadto, udziałowemi wspólnikami, składającemi po 100 rs. mogą być nietylko kobiety, ale i mężczyzni, a zatem idzie tu wprawdzie o kobiety, ale spółka sama wyłącznie kobiecą nie jest, chociaż firmę kobiecą przyjmuje. Jest to fabryka, magazyn, tak dobry jak każdy inny, a właścicielami takowych zarówno są mężczyzni, jak i kobiety, jak to się praktykuje we wszelkich współkach handlowych lub przemysłowych.

Opinia publiczna a przedewszystkiem kobiety, mocno się zainteresowały zakładem zjedn. pr. kob. jako z bliska je obchodzącym. Gdyby to była spółka, jakich u nas z każdym dniem coraz więcéj powstaje, i miała na celu eksploatacyą torfu, węgli lub butów, albo też jaką przemądrą spekulacyę bankierską, nie rozwodzilibyśmy się nad jéj naturą, bo to rzecz prywatna i bynajmniéj ogółu nie obchodzi, czy spólnicy stracą lub zyskają i ile. Do sp. Z. p. k. powołanych jest massa niezamożnych kobiet, które dając swój kapitalik, z ostatniem często wysileniem zebrany, dając swoją pracę, pragną dobrze poznać swoje stanowisko do założycieli, pragną mieć gwarancyę tak swojego grosza jak i korzyści ze swojéj pracy. Tu kwestya na pozór prywatna staje się publiczną. Nic więc dziwnego, że prassa peryodyczna tak się nią zajmuje: jest to jej obowiązkiem.

Założycielka broniąca spółki Zjedn. p. K. domaga się porady od ludzi pióra, kiedy rzecz sama dwie tylko przedstawia alternatywy:

Albo, przyznać się otwarcie, że korzystne użycie kapitalików jest celem waszéj spółki, a zjednoczona praca kobiet i ich wkładki są jedynie środkiem do tego celu wiodącym.

Albo zmieniwszy kontrakt okazać, iż zjednoczona praca kobiet ma na celu polepszenie ich losu przy współdziałaniu kapitalików tak założycieli jak i pracownic.

W pierwszym razie Spółka stanie do konkurencyi ze wszystkiemi zakładami eksploatującemi pracę kobiecą, i jedynie wyższem wynagrodzeniem i dawaniem robót do domu, a przedewszystkiem rzetelnem wychodzeniem z pracownicami, pozyska niezawodnie przewagę nad konkurentami i celu założonego dopnie.

W drugim znów wypadku Spółka zmieniłaby się w Stowarzyszenie, w któremby stosunek pracy do kapitału uregulowany został na zasadach odmiennych od dotychczasowych.

Naturalnie są—to *pia desideria*, które przecie ludziom dobréj woli otwierają szeroką drogę do postępu w ulepszeniu doli licznego zastępu wyzyskiwanych dotąd pracownic.

Korespondencja z Wiednia.

Tegoroczna inauguracya nowego rektora uniwersytetu wiedeńskiego odbyła się pod względem formy tak samo jak się odbywa corocznie, jak się zapewne wszędzie odbywa, zbytecznem byłoby więc opisywanie jej szczegółowe. Ale sprawozdanie ustępującego rektora, p. Hye, o stosunkach uniwersytetu przy tej sposobności odczytane, ale wykład inauguracyjny nowego rektora, profesora Späth, którego treścią było rozwiązanie pytania: czy kobiety mogą z korzyścią oddawać się naukom wyższym, są to wszystko rzeczy które nikomu nie mogąbyć obojętne kogo tylko zajmują najważniejsze kwestye ludzkości i oświaty.

P. Hye w sprawozdaniu z całorocznych czynności swoich, określił raczej krótką historyą uniwersytetu z ubiegłego roku szkolnego. Pominąwszy wątpliwy zaszczyt udziału w uroczystem otwarciu uniwersytetu strasburgskiego, uniwersytet wiedeński brał udział w rozmaitych innych obchodach publicznych, jak np. w obchodzie jubileuszowym uniwersytetu monachijskiego, w obchodzie pogrzebowym poety Grillparzera itd. Kilku profesorów ubyło przeniosłszy się na inne pole działania jak Unger i Gleser, którzy zostali ministrami, kilku umarło, kilku nowych przybyło. Ilość uczniów uniwersytetu wzmaga się z każdym rokiem, z tych jednak, tylko piąta część jest narodowości niemieckiej, wszyscy inni są słowianami lub Węgrami. Ten nadzwyczajny napływ młodzieży słowiańskiej do uniwersytetu niemieckiego, przypisuje pan Hye nie doborowi profesorów i bogactwie zbiorów uniwersyteckich naukę ułatwiających, lecz urokowi kultury niemieckiej któréj uniwersytet wiedeński jest przedstawicielem. „Krok ten,“ jego są słowa, „jest tak wielki, ża studenci chcący się tu kształcić, stacząć muszą najokropniejszą walkę z prądem narodowym w swojej ojczyźnie, a i to ich nie odstrasza.“ Dla objaśnienia godzi się tu dodać, że istotnie są w monarchji austryjackiej prowincye niewielkie, dla których kultura niemiecka niesłychany ma urok, w których język

niemiecki i literatura niemiecka lepiej są znane niż mowa i literatura ojczysta; przyczyną jednak napływu młodzieży słowiańskiej do uniwersytetu wiedeńskiego, według naszego zdania, nie tyle jest urok kultury niemieckiej, jak raczej niezmiernie bogate uposażenie tego uniwersytetu, w porównaniu z innemi, dobór profesorów, wielka ilość katedr, przekonanie, że Wiedeń jest największem miastem w Austryi, a nareszcie ta wielkiej wagi okoliczność, że młodzież, która kończy nauki w uniwersytecie wiedeńskim, chociażby nie wiele umiała, zawsze szczególniejszej doznaje protekcyi. W dalszym ciągu sprawozdania pan Hye zwrócił uwagę, że pomiędzy młodzieżą uniwersytecką pojedynki ustały zupełnie, i że młodzież w ogóle zachowuje się tak przyzwoicie, że nie daje powodu nie tylko do skarceń ale nawet do upomnień.

Nowy rektor przystępując do wzmiankowanego wyżej wykładu, powtórzył najprzód i streścił poczynione dotąd usiłowania i osiągnięte rezultaty na polu emancypacyi kobiet pod względem naukowym, zwłaszcza co na tem polu dokonano w Petersburgu i Zurichu, a następnie zeszkicował to wszystko, co przeciwnicy emancypacyi, zwłaszcza profesor Bischof, przytaczają przeciwko przypuszczeniu kobiet do kształcenia się w uniwersytetach, ze względu na stan ich psychiczny i fizyczny. Na zasadzie tych wszystkich danych Späth wyprowadza w końcu wniosek, że kobietom nie można wprawdzie odmówić zdolności do kształcenia się w wyższych naukach, lecz nie sądzi, aby były zdatne do każdego powołania, do którego usposabiają nauki uniwersyteckie.

Zresztą powołanie np. lekarskie wymaga bazdzo pilnéj nauki od 10 do 24 roku życia, a tu właśnie przypada najważniejszą w życiu kobiety chwila rozwoju, w której wszelkie większe natężenia mogą się stać dla niéj niezmiernie szkodliwemi. Prócz tego należy mieć na względzie, że zostawszy lekarzem, trzeba w każdéj chwili, we dnie i w nocy być gotowym na zawołanie—ciężki ten obowiązek nie da się żadną miarą pogodzić z powołaniem matki i żony. Obrońcy emancypacyi, wymieniają nazwiska kobiet, które w rozmaitych krajach wyrobiły sobie wielką praktykę lekarską; nie zaprzeczam temu, powiada Dr. Späth, ale co do mnie, śmiem zapytać zwolenników emancypacyi, czy są pewni, że ta wielka praktyka kobiet lekarek była skutkiem ich talentu i biegłości w zawodzie. Mnie się zdaje, że kobiety lekarki przychodzą do wziętości najczęściéj tylko w skutek mniemania, że leczą za pomocą czarów. (?) Prelegent zaprzecza także, że chore kobiety chętniéj powierzają się kobietom niż mężczyznom, i mniema, że owszem wolą zasięgać rady u poważnych mężczyzn, a to właśnie dla tego, ponieważ znają płeć swoją, i wiedzą że mężczyzna zachowuje cudzą tajemnicę lepiéj niż swoją, a kobieta przeciwnie strzeże swojéj, lecz ma wrodzony pociąg do zdradzania cudzéj, co się właśnie potwierdziło na telegrafach w Rossyi, w skutek czego usunięto je od dalszéj pracy w biórach, do któréj niedawno powołane zostały. Zetknięcie się młodzieży obojga płci w salach uniwersyteckich uważa za niestosowne i twierdzi, że się to sprzeciwia zasadom pedagogicznym. Na małym uniwersytecie jak np. w Zurichu. spotykanie się młodzieży męzkiej z żeńską nie może pociągać za sobą tak złych skutków, bo tam profesor może z łatwością zapobiedz niestosownościom; na wielkim jednak uniwersytecie jaki jest np. wiedeński byłoby to niemożebnem. Wygnanie przesądów z pokojów dziecinnych, oto zadanie godne kobiety, woła nowy rektor uniwersytetu wiedeńskiego, ale walka, w celu przełamania granic przez naturę zakreślonych, byłoby niedorzecznością, kobiety bowiem, chociażby się pozbyły kobiecości, nie staną się już przez to mężczyznami.

Oto jest krótka i pobieżna treść wykładu dra Späth...

Sądzimy, że każdy się zgodzi, iż mówił nie wiele, wysilił rozum na wygłoszenie oklepanych komunałów o obowiązkach kobiety i jéj przeznaczeniu. Zwrot do czarów jest tak zabawny, że dziwić się należy jak mógł wysunąć się z ust człowieka zaszczyconego dyplomem uczoności. Ale nie pierwsze to i zapewne nie ostatnie potknięcie się wielkości niemieckich.

Idźmy więc dalej.

O Adolfie Wilbrandzie, jednym z najznakomitszych dzisiaj dramaturgów niemieckich, w Berlinie mieszkającym, którego sztuki jednak doznają w Wiedniu wielkiego powodzenia, nieraz już miałem sposobność uczynienia wzmianki. W ostatnim czasie grano tu dwie nowe sztuki tego autora, które zapewne na długo utrzymają się w repertoarze. Pierwszą z nich jest *Otto Hammerstein* dramat w 5 aktach, grany w teatrze Laubego. Treść jego wzięta z historyi wieków średnich jest mniéj więcéj następująca: Oto Hammerstein rycerz średniowieczny, zakochawszy się w blizkiéj krewnéj, Irmgardzie Andernach i nie mogąc jéj zaślubić, ponieważ na to prawa kościelne, a tem samem ich wykonawcy, papież i cesarz, nie pozwalają, wyszukał młodego księdza, który na przekór władzy świeckiéj i kościelnéj, połączył go z ukochaną. Stało się to pod gołem niebem, prawie tuż pod bokiem cesarza Henryka II i biskupa Paderborwskiego Meinwerka. To też zaledwo się skończył obrządek, zbliża się cesarz z orszakiem, i poczytując związek dopiero co zawarty za nieprawy i grzeszny, wydziera Irmgardę z rąk Ottona i oddaje ją do klasztoru. Do klasztoru tego jednak, nie wiemy jakiem prawem mają wstęp i rycerze i Minnesängery. Pewnego razu przybywa tam Konrad frankoński, krewny ksieni i przyprowadza ze sobą śpiewaka, który niebawem daje się poznać Irmgardzie jako jéj własny mąż, zmuszony postępowaniem samowładnego cesarza do odgrywania takiéj roli dla zobaczenia się z małżonką. Uciekają więc oboje z klasztoru, idą do zamku Hammersteina dla zakosztowania szczęścia w zaciszu, lecz tu nowe czekają ich niebezpieczeństwa. Cesazz wysyła do nich biskupa Paderborwskiego, aby ich nakłonił do poddania się prawom. Biskup, który za nic waży szczęście dwojga istot, byle się tylko stało zadosyć przepisom kościoła, nie szczędzi tak zwanych jezuickich sztuczek dla nakłonienia Irmgardy i Ottona do posłuszeństwa. Gdy jednak usiłowania jego rozbiły się o puklerz prawdziwéj miłości i wierności małżeńskiéj, cesarz postanawia użyć przemocy i oblega zamek. Wkrótce oblężonym głód zaczyna się dawać we znaki, jednak nie upadają na duchu, a gdy nareszcie wyczerpały się wszystkie środki obrony, Hammerstein poddaje zamek cesarzowi, ale pod warunkiem, że żona przy nim zostanie. Cesarz przystaje, idą więc oboje na wygnanie o żebranym chlebie. W piątym akcie widzimy ich, łachmanami okrytych w tem samem miejscu, gdzie nie zbyt dawno poprzysięgli sobie dozgonną wierność i miłość. Lecz tu nagle i niespodziewanie zmienia się ich los. Cesarz, który ich prześladował, umarł; na jego miejsce obrany przyjaciel Ottona, Konrad frankoński, który naprawi złe przez poprzednika wyrządzone i uleczy rany przez niego zadane. Miłość odnosi zwycięztwo nad przeszkodami, z któremi dotychczas walczyć musiała, i jéj tryumfem kończy się sztuka. Gbyby nie to, że tendencya zanadto tutaj bije w oczy, że wyobrażenia i stosunki dzisiejsze na zbyt lekkomyślnie poprzenoszono w czasy zbyt odległe i nader różniące się od naszych, Otto Hammerstein, mógłby się zaliczać w istocie do lepszych płodów tegoczesnéj literatury dramatycznéj niemieckiéj.

O wiele wyżéj stoi druga z najnowszych sztuk Wilbrandta *Grachus trybun ludu*, tragedya w 5 aktach. I ta sztuka jest tendencyjną, atoli nie widać tutaj takiego jak tam naciągania, lecz tylko dobór wypadków i charakterów, które same przez się, bez uchybienia prawdzie historycznéj nadają się do czasów teraźniejszych. Gajus Grachus, ostatni potomek rodziny tego nazwiska, porzuca Sycylią gdzie był kwestarzem, i przybywa do Rzymu, ażeby na senacie pomścić się za śmierć swojego brata Tyberyusza. Senat, znający wpływ Grachusa na lud, lęka się jego zemsty, a dumny i chciwy znaczenia senator Opimius domaga się kary na niego za niedozwolony powrót do Rzymu. Grachusowi zdaje się grozić niebezpieczeństwo, ale świetną obroną, w któréj skreślił obraz nadużyć senatu i położenia ludu rzymskiego tyle dokonał, że obwołano go trybunem. W drugim akcie senatorowie Opimius i Druzus zmawiają się na życie Gracchusa i wysyłają na niego skrytobójcę, ale zapaleniec Letorius zdołał odwrócić cios i owszem zabił nasłanego siepacza. Lucinia żona i Kornela matka Grachusa, szlachetne Rzymianki, zaklinają Trybuna aby dla miłości ojczyzny zaniechał zemsty i przestał mącić spokój publiczny.

W trzecim akcie Scipio afrykański, mąż siostry Gracha, powraca do Rzymu po długich bojach i powraca jako zwycięzca, uczczony dziękczynieniem senatu. Przechylenie się tego wielkiego wojownika i tak znakomitego męża na stronę senatu, lub też ludu czyli Gracha, rozstrzygnie o zwycięztwie jednej lub drugiej strony. Scipio usprawiedliwia postępowanie senatu i już nie wiele brakuje aby pomiędzy nim a Grachem przyszło do zgody, gdy w tem senator Opimius przypomina, że i Scipio głosował za karą śmierci na Tyberyusza i tym przypomnieniem poróżnia ich ze sobą. Grachus domaga się, aby Scipio odwołał podejrzenie, a gdy ten odmawia, grozi mu zemstą.

Zemstę wykonał prędzej, niż by się można było spodziewać, w czwartym akcie zagorzalec Letorius uniesiony fanatycznem uwielbieniem dla Trybuna, zakradł się do domu Scipiona i zamordował bohatera. Okropny ten wypadek tem bardziej przeraża, ponieważ Scipio w skutek próśb matki Grachusa zrobił właśnie nadzieję, że pojednanie pomiędzy nim a Grachusem nie jest ani niepodobne, ani zbyt dalekie.

Przerażony śmiercią Scipiona senat, rzuca na Grachusa podejrzenie, że on popełnił to morderstwo i przyzywa go przed sąd. Stronnicy Grachusa nie wierzą aby trybun mógł być winnym i sądzą owszem, że śmierć Scipiona jest sprawką senatu dokonaną rozmyślnie na podburzenie ludu przeciw trybunowi i na zgubę tego ostatniego. W tem, zjawia się Letorius i sztylet skrwawiony kładzie u nóg Grachusa. Wówczas lud odwraca się ze zgrozą od swego dotychczasowego obrońcy i reprezentanta, a Gracchus porywa sztylet i topi go w swojem łonie.

Jest to dramat prawdziwie starożytnego nastroju. Niektóre sceny są prawdziwie porywającej mocy, w ustępach potęga słowa wielka i wierne odwzorowanie uczuć i pojęć tych odległych wieków. Słuchając go, doświadcza się pewnej zgrozy, a mimowoli słuchacz cieszy się, że żyje w wieku, w których zemsta nie za cnotę, lecz za zbrodnią jest uważana.

Plan przeznaczony na wystawę powszechną szyb-

ko się zabudowuje, bo też fabryka trwa ciągle pomimo spóźnionej pory i nawet wcale nie będzie przerwaną podczas zimy. Obecnie jest zatrudnionych około czterech tysięcy rozmaitych robotników, jak gdyby szło o zbudowanie miasta, gdyż zaprawdę, zabudowania wystawowe razem z należącemi do nich urządzeniami, pawilonami, kioskami, restauracyami, teatrami, parkami, akwaryami itd. itd. to jakby nowe miasto, które nagle z ziemi wyrosło. Budynki wszystkie odznaczają się nietylko kolosalnemi rozmiarami, ale oraz ozdobnością a nawet wytwornością stylu. Główną częścią pałacu wystawowego jest znajdująca się w pośrodku kolosalna rotonda, olbrzymim żelaznym dachem nakryta, oświetlona z góry, której zbudowanie,podług zdania znawców ma być najwyższym szczytem sztuki inżynierskiej. Niektórzy utrzymują, że pałac wystawy za mało ma okien i że w skutek tego, olbrzymie sale za nadto mało będą miały światła, czemu jednak dyrekcya wystawy zaprzecza twierdząc, że miano na to wzgląd należyty. Przygotowania do zapełnienia gmachów będących już na ukończeniu robią się wszędzie, w całym świecie, w najodleglejszych krainach.

Komitet wiedeński do urządzenia działu robót kobiecych jest bardzo czynny, działalność swoją ogranicza jednak tylko na prowincye cesarstwa Austryackiego. Dział ten będzie urządzony na tutejszej wystawie daleko stosowniej, niż to miało miejsce w Paryżu i Londynie; tam bowiem o ile wiemy, roboty kobiece nie były umieszczone osobno, lecz razem z robotami mężczyzn i dla tego niknęły w ogromie produkcyi i nie mogły zwrócić na siebie szczególniejszej uwagi. Na wystawie zaś wiedeńskiej, roboty kobiece będą stanowiły zupełnie osobny dział, podzielony na kilka oddziałów, a z tych jeden ma być poświęcony robotom ręcznym wykonanym w szkołach robót, ażeby można było zrobić przegląd rozmaitych metod nauki i systemów urządzenia zakładów rzeczonych. Nie ma podobno w Europie kraju, któryby z dyrekcyą wystawy nie zostawał w ścisłych stosunkach, któryby tu nie przysyłał ciągle reprezentantów dla poinformowania się i zasięgnięcia rady. Ajenci angielscy, francuscy, niemieccy szwedzcy, duńscy, itd. itd, albo stale w interesach wystawy przesiadują w Wiedniu, albo bardzo często przyjeżdżają. Nawet pomniejsze kraje, jak Rumunia Serbia, Czarnogóra przygotowały się do wzięcia udziału w wystawie wiedeńskiej, nie chcąc na polu produkcyi przemysłowej pozostać w tyle za innemi. Komitet konstantynopolitański ma być bardzo czynny i o ile wiemy przygotował na wystawę wiele pięknych rzeczy. Opodal głównego pałacu wystawy wiedeńskiej ma być zbudowany wspaniały kiosk żelazny, w którem zostaną pomieszczone osobliwości skarbca sułtańskiego. Plan tego kiosku jest już zatwierdzony i budowa jego zostanie wkrótce rozpoczętą. Ale nawet prawie wszystkie kraje Azyatyckie przyspasabiają się do udziału w wystawie wiedeńskiej.

Z Japonii i Chin, nadeszło tyle zgłoszeń, że miejsce dla tych krajów w pałacu wystawy pierwotnie wyznaczone, musiano zmienić, ponieważ okazało się za szczupłem. Persya także będzie reprezentowaną, a nawet jest zapowiedziany przyjazd samego szacha z czterema książętami krwi, kilku ministrami i nader licznym orszakiem. Afryka także nie myśli ustąpić innym częściom świata. Zapowiedziane ogromne transporta produktów z północno-wschodniego Egiptu, z Sudanu, Abisynii. Na pomieszczenie płodów egipskich zbudowany został zupełnie oddzielny dom we właściwym stylu, który sam przez się będzie stanowił osobliwość. Wszystko to zdaje się zapowiadać, że wystawa wiedeńska będzie bardzo świetną, i jeżeli nie przewyższy paryzkiéj jak sobie marzą jéj założyciele, to jéj bezwątpienia dorówna.

WIADOMOŚCI
Z NAUK PRZYRODNICZYCH

ODNOSZĄCE SIĘ DO

DOMOWEGO GOSPODARSTWA
I POTRZEB
ŻYCIA CODZIENNEGO.

(Dalszy ciąg).

Mięsa.

Mięso rozmaitych zwierząt na pokarm używanych, przedstawiając w swym chemicznym składzie najzupełniejsze podobieństwo z tkankami naszego ciała, jest szczególnie właściwem do podtrzymywania i odnawiania jego organów, czyli w innych słowach, służenia nam za pokarm.

Wszystko co w gospodarstwie domowem *mięsem* się nazywa, jest massą *mięsni* czyli muszkułów zwierząt, na pokarm używanych, pokrytą większą lub mniejszą ilością tłuszczu i zawierającą pewną ilość kości, tak że średnio w 100 funtach mięsa pochodzącego z jatek rzeźniczych, będzie 16 części substancyi mięśni, 5 tłuszczu i tkanki łącznej, 10 części kości, a 69 wody. Uważana pod względem anatomicznym, substancya mięśni jest ciałem złożonem, do składu którego wchodzą włókna, tkanka łączna, nerwy, naczynia krwionośne i limfatyczne. Substancya mięsa sama przez się jest bezbarwna, kolor jej pochodzi od naczyń krwionośnych w niej zawartych. Pod względem składu chemicznego jest ona ciałem bardzo złożonem, w którem najprzód odróżnić należy właściwą substancyę mięsną, powtóre ciecz mięsną tamtę przenikającą.

Po nalaniu mięsa wodą zimną, dokładnem wymoczeniu go i wyciśnięciu, pozostanie ciało, koloru białawego podobne do mięsa rybiego. Ta pozostałość składa się z włókien mięśniowych, błonki łącznej, naczyń i nerwów i jest jednakową bez względu z jakiegoby zwierzęcia mięso pochodziło, tak dalece że z niej nie można rozróżnić, czy mięso było z wołu czy z drobiu. Ciecz zaś mięsna, oprócz zawierającej się w niej krwi, która mięso przejmowała, składa się z płynu kwaśnego, z którego za ogrzaniem oddzielają się bezbarwne obłoczki *białka* (album in), zupełnie do białka jajka podobnego; barwnik czerwony dopiero w wyższej temperaturze się oddziela. Płyn odcedzony zawiera kwas właściwy zwany *inozynowym*, kwas *mleczny*, *kreatynę* i *kreatyninę*, nadto materye ekstraktywne i sole nieorganiczne. Kreatyna pod względem składu i chemicznych własności przedstawia pewne podobieństwo z *kafeiną* i znajduje się w każdem mięsie, lecz w nierównych ilościach. Mięso kurze zawiera jej pięć razy więcej aniżeli wołowe, w rybie jest jej najmniej. W popiele otrzymanym ze spalenia stu części mięsa wysuszonego, znajdujemy: 3 i pół części nieorganicznych (mineralnych), głównie fosforanów i węglanów wapna, magnezyi, przytem siarkę, potaż, etc.

Narody cywilizowane używają na pokarm mięso gotowane, nie zaś surowe. Przyprawianie mięsa uskutecznia się przez: *gotowanie*, *pieczenie*, *wędzenie lub solenie*.

Przez gotowanie w wodzie, mięso w składzie swoim się zmienia, gdyż ciała rozpuszczalne, w części lub zupełnie z mięsa się wydzielają, w miarę ilości użytej wody i dłuższego lub krótszego czasu gotowania. Niemożna z jednego kawałka mięsa otrzymać jednocześnie dobrego rosołu i pożywnej sztuki mięsa: sposób gotowania za pomocą, którego otrzymuje się najlepszy rosół, da nam mięso suche, włókniste i pozbawione smaku; chcąc zaś mieć dobre mięso, poprzestać należy na mało pożywnym rosole.

Ażeby otrzymać rosół mięsny jak najlepszy, należy mięso pokrajać w drobne kawałki, nalać zimną wodą i powoli bardzo ogrzewać, aż do zawrzenia, i po krótkiem gotowaniu wycisnąć. Pozostałe mięso będzie prawie bez smaku i jako pokarm mało pożywne. Rosół zaś będzie zawierać wszystkie części potrzebne do utworzenia naszych mięśni, tkanek, nerwów, etc. Ztąd też i zbawienne działanie dobrego rosołu mięsnego na rekonwalescentów. Ażeby mieć dobrą sztukę mięsa, inaczej postępować należy. Mięso w całym kawałku kładzie się do wrzącej już wody i przez kilka minut tak się utrzymuje, następnie dolewa się wody zimnej do naczynia tyle, ażeby temperatura obniżyła się do 60 R: i tę utrzymuje się przez godzin kilka. Wrząca woda ścina natychmiast białko w mięsie zawarte i tworzy na niem powłokę, niedopuszczającą wodę do środka, a zatem nie dozwalające jej rozpuszczać części w mięsie zawartych, które właśnie smak, aromat i pożywność jego stanowią. Ciepło zaś udzielające się całej massie, zmienia mięso surowe na gotowane. Tym sposobem otrzymuje się mięso równie soczyste i dobre jak pieczone. Można nawet gdy kto chce, i krew surową w niem zatrzymać, lecz wtedy temperatury niemożna podnosić nad $\times$ 45°

Pieczenie mięsa uskutecznia się najlepiej pod wpływem promienistego ciepła, od rozrzarzonych silnie węgli; obracając je na rożnie, i polewając tłuszczem i sokiem z niego ociekającym. Anglicy którzy są mistrzami w pieczeniu mięsa, nad ogniskiem urządzają metalowe polerowane zasłony, które skupiają i odbijają promienie ciepła, na piekące się mięso. Tym sposobem na powierzchni mięsa prędko powstaje powłoka, grubieje i dokładniej zatrzymuje sok w niem zawarty.

Wędzenie zajmuje nie jako środek pomiędzy pieczeniem i gotowaniem. Zmiana w mięsie, która je zdatnem na pokarm czyni, osiąga się tu działaniem dymu.

Solenie jest sposobem najmniej dobrym, albowiem odejmuje mięsu najwięcej pożywnych jego części. Według najnowszych badań chemicznych, rosół słony powstający przy suchem nawet nasoleniu mięsa, zawiera w sobie ⅓, a często i ½ cieczy mięsnej, czyli że mięso słone straciło połowę swych części pożywnych, które przeszły do rosołu słonego. To nam objaśnia dla czego mięso solone, stanowiące przez czas długi pokarm w dalekich podróżach morskich, sprowadza szkodę dla zdrowia, szkorbut i inne choroby.

Suchary mięsne stanowią wyborny materyał pokarmowy, do którego w Teksas, podał pomysł p. Bardon. Przygotowują się one przez wygotowanie z mięsa świeżego wszystkich części pożywnych, następnie rosół ten odparowuje się do gęstości wyciągu, zarabia się mąką na ciasto i wypieka na suchary. Znalazły one w Ameryce bardzo obszerne zastosowanie, zdaje się nawet, że to jest najlepszy środek i przechowywania i przewożenia skoncentrowanego

materyału pożywnego. Zawierają one w 100 częściach, 32 składowych części mięsa.

Mięso zwierząt w stanie dzikim żyjących, znane jest pod ogólną nazwą *zwierzyny*. Pożywniejsze jest ono i więcej ma właściwego sobie aromatu, aniżeli mięso zwierząt domowych, lecz jako podbudzające nie zawsze łatwe do strawienia. Jedna tylko sarna ma mięso znacznie strawniejsze. *Jeleń* po latach trzech staje się prawie nie jadalny, tak suchy bywa i twardy, młody zaś jest dobry. Łosie chrapy są bardzo przez smakoszów cenione. Daniel nigdzie u nas po lasach nieznajdujący się, a tylko w zwierzyńcach i parkach hodowany, na pokarm prawie używany nie jest, w Anglii zaś mięso jego za przysmak się uważa.

Dzik, prototyp domowego wieprza należy jak i on do klassy zwierząt gruboskórych (Pachydermata) kły jego pryzmatyczne i przez całe życie rosnące, dochodzą znacznej wielkości i przy jego ogromnej sile stanowią broń straszną dla psów i myśliwych. Mięso jego jest więcej zbite i bardziej aromatyczne, aniżeli swojskiego wieprza, zwłaszcza młodych, nazywanych *warchlakami* jest wyborne.

Nareszcie z pomiędzy zwierząt ssących *Zając* należy on do klassy *gryzących* (Rodentia), i daje mięso bardzo smaczne, bardzo pożywne i łatwe do strawienia.

Wspomnieć jeszcze należy o bardzo zbliżonym do zajęcy rodzaju *królików*, u nas dziko nigdzie nie znajdujących się, a tylko utrzymywanych po niektórych ogrodach, w osobnych królikarniach. Lecz na Zachodzie, a szczególnie we Francyi, stanowi on bardzo rozpowszechnioną i poszukiwaną zwierzynę, którą znaczny handel się prowadzi. Mięso jego zupełnie białe, słodkawe i smaczne, gdy dobrze przyrządzone. Byłoby do życzenia ażeby u nas mogły być więcej rozpowszechnione, zwłaszcza odmiana nazwana *zajęczaki*, pochodząca od mieszańców królika i zająca.

Ptastwo stanowi zwierzynę delikatniejszą, różną między sobą smakiem i rozmaitym rodzajem aromatu, zależącym od sposobu życia i pokarmu ptaków, które także bardzo różne bywają.

Na zachodzie Europy, do zwierzyny zaliczają prawie wszystkie drobne ptastwo i to wyniszczają niemiłosiernie, z wielką szkodą ogólnej ekonomji natury tak dalece, że we Włoszech musiało się utworzyć Towarzystwo Opieki nad ptastwem drobnem, ażeby powstrzymać to wyniszczenie, grożące ogólną klęską z powodu zbytniego rozmnożenia się wielu szkodliwych owadów. Największe prześladowanie cierpią tam *Skowronki*, nasi myśliwi chwała Bogu nie mają tego barbarzyńskiego zwyczaju. Wszakże pomiędzy drobnemi ptaszkami, które prawie wszystkie jednakowy smak mają, wyróżnić należy *Figojadki* i *Ortolany*, jako niezmiernie tłuste, a przez gastronomów na pierwszem miejscu między zwierzyną stawiane. *Figojadek* u nas nie ma wcale, są one mieszkańcami południowej Francyi i Włoch, *Ortolany* także, lecz te zdarzają się w przelotach na stepach Odeskich jest to rodzaj wielkiego *Skowronka*.

Kwiczoły i Jemiołuchy, ptaki należące do klassy *Wróblowatych* czyli *Spiewającyh*, (oscines), pierwsze do Familji *Drozdów* (Turdida) drugie do Famiji *Muchołówek* (Muscicapida) gnieżdżą się u nas w małej ilości, a głównie w przelotach się zjawiają. Ogromnemi zaś stadami przebywają w Karpatach, i ukarmione tam jałowcem są bardzo tłuste i smaczne: jest to śliczny ptaszek z kształtnym czubkiem mający rogowe, ponsowe płatki na skrzydłach.

Gluszcze, cietrzewie, jarząbki, należą do klassy *grzebiących* (gollinacea), a do familij *Cietrzewi* (Tetrida). Dwa pierwsze gatunki mają mięso czarne i tylko dopóki młode są prawdziwie wyborne, stare zaś gluszcze zwłaszcza, bardzo są twarde. *Jarząbki* mają na piersiach i skrzydłach mięso białe, na udkach i nogach czarne. Stanowią one wyborną nieco suchą, lecz niezmiernie aromatyczną zwierzynę.

Kuropatwy i przepiórki żyjące w polach otwartych, wśród zbóż lub w małych zaroślach, należą również do klassy *grzebiących* (Perdrix). Łatwo oswoić się dają i mogłyby wejść w skład domowego drobiu, jak to już po części ma miejsce. Słyszałem o jednym obywatelu w Galicyi, który przeszło 200 par *Kuropatw* posiada w stanie zupełnie domowym.

Dropie i Pardwy (otis tarda i otis tetrax), należą do klassy *Brodzących* (grattatores). Mieszkają na rozległych stepach, otwartych a niepokrytych zaroślami. W znacznej ilości znajdują się zwłaszcza pierwsze, na Podolu i Ukrainie i stepach odeskich. *Drop* jest ptakiem bardzo okazałym, wielkości Indyka, a niezmiernie ostrożnym, mięso młodych jest przewyborne. *Pardwa* z upierzenia do Dropia podobna, jest wielkości kury, w locie wznosi się prosto w górę, wielki szum skrzydłami czyniąc. Na stepach odeskich i w Krymie bardzo liczna,na Ukrainie i Podolu rzadsza. Mięso jej bardzo dobre.

Gęsi i *kaczki dzikie*, zaliczone do rzędu ptaków *pływających* (notatores) do familji *kaczkowatych* (Antida). Pierwsze za zwierzynę poczytane być niepowinny tak są twarde i niesmaczne. Drugich zaś wielka ilość gatunków, różni się między sobą powierzchownością i smakiem.

Prawie wszystkie u nas znajdujące się gatunki dają dobre, czarne bardzo aromatyczne mięso, nie zbyt wszakże do trawienia łatwe. Młode w ogóle lepsze są o wiele od starych, które tylko w późnéj jesieni są prawdziwie smaczne. Najwyżéj cenione gatunki są *podgorzałki* i *cyranki*: wszystkie mogłyby się dać oswoić i wejść w skład domowego drobiu, jako też i wyżéj wspomnione dwa ptaki: *drop'* i *pardwa*, któreby piękny nabytek dla wiejskiego gospodarstwa stanowić mogły, drop' szczególnie lubi towarzystwo indyków, nieraz widziałem chodzące razem z niemi po stepie i wtedy nawet łatwiéj ludziom zejść się dają.

Daléj następuje Ptastwo błotne, to dostarcza najdelikatniejszéj, najaromatyczniejszéj i najbardziéj cenionéj przez smakoszów zwierzyny. Głównie familja *Bekasowych* (Scolopacida) z któréj mamy u nas cztery gatunki, a mianowicie: *Słomka* czyli *Słonka* według znakomitego ornithologa naszego Tyzenhauza, dla tego, że od słońca się kryje a tylko o zmroku lata, utarta zaś nazwa Słomki, żadnego nie ma znaczenia, *dubelt, krzyk* i *ficklaus*. Wszystkie te cztery ptaki odznaczają się bardzo długim, zupełnie prostym dziobem. Chociaż wszystkie są bardzo tłuste, smaczne i delikatne i sobie właściwy, niezmiernie aromatyczny zapach mają, jednak *dubelt* pierwsze zajmuje miejsce.

Wprawdzie nie tak delikatną lecz smaczną i aromatyczną zwierzynę, dają nam jeszcze famije *Siewek* (Charadrida), *kulików* (Tringa) i *kurek wodnych* (Rallida). Z tych ptaków błotnych kilkadziesiąt gatunków żyje u nas, między niemi co do smaku pierwszeństwo trzyma *Chróściel* i *Siewka złota*. Chróściel z pomiędzy wszystkich, jeden tylko wyróżnia się mięsem białem.

Na Zachodzie z powodu małéj ilości ptastwa błotnego, w zaludnionych znacznie miejscach, do zwierzyny zaliczają i uważają za smaczne i takie, które u nas wcale używane nie są, naprzykład Łyski (Macreuse), zawsze tranem śmierdzące, i *Czajki* (Vanneau). Te ostatnie gdy młode, są rzeczywiście dość dobre, we Francyi jednak tak wysoko je cenią, że aż w przysłowie poszły: *Qui n'a pas mangé de Vanneau, n'a pas mangé un bon morceau.*"

(d. c. n.)

DONIESIENIA.

Nakładem Redakcyi Opiekuna Domowego wyszła na Gwiazdkę mała książeczka z dwoma rycinami p. t. *Robinson w podziemiach Paryża* przez Jadwigę O.

Korespondencya

Pani W. z Zalesia. Za wiadomość wdzięczni jesteśmy. Pan Kraszewski rzeczywiście bardzo się zajął Przyjacielem Dzieci. O *Zorzy* dowie się pani w prospekcie który do pism naszych przyłączyliśmy O książkach udzielimy później wiadomość.

P. Michalinie Bry. Książeczkę wysłano.Sto sztuk biletów kosztuje rs. 1.

Dzieła Tańskiej wyczerpane; są tylko niektóre tomy. Elementarzy dostać można od 15 do 30 kop.

Pani Paulinie R. Modne ubranie sukni może się składać z plis aksamitnych, lub jedwabnych na trzy palce szerokich, naszytych na przednim brycie i z falbany szerokiej na 20 cent. idącej od boków lub z trzech węższych wolantów. Polonezkę można tylko na przodzie plisami naszyć. Nowy kolor brązowy nosi nazwę: *Pain brulé*.

Pani Anieli W. Do bardzo strojnego ubrania balowego używane są wachlarze koronką kryte. Mniej kosztowne są białe lub czarne morowe

P. Stefanji K. Do kołnierzyków z cienkiej weby płóciennej, przyjęte są kokardy z barbki valenciennes albo innej koronki.

N. 49. Przyjaciela dzieci wyszedł z druku i zawiera: Biedna Albina. Powieść oryginalnie napisana, przez Maryę Brühl. (Dokończenie).— Dzwonek (wiersz) przez W. z Zacisza.— Podróże Kazi, przez Bronisławę L. (Ciąg dalszy).—Akacya (z ryciną).— Czyny nauczające, przez Teresę Jadwigę.— Ruiny miasta Petry (z ryciną).— Korespondencje.—Szarada.—Od Redakcji. W dodatku Opowiadanie z trzeciéj podróży Krzysztofa Kolumba. Kolumb więźniem i śmierć jego (z drzeworytem).— U Babci na wsi. IV. — Dowód kochania, (wiersz) przez J. M — Zosia siostra miłosierdzia.— Koń i Wróbel (bajka) przez J. Chmielewskiego.—Smakosz (z drzeworytem).

Cena w Warszawie kwartalnie kop. 75. Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą pocztową rs. 1.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i ogłoszenie o magazynie bielizny p. **Maurycego Reichla**.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 50 r. 1872.

JOHN SCROOGE

POWIASTKA.

NA BOŻE NARODZENIE

PRZEZ

Karola Dickens'a.

(Dalszy ciąg.)

W tem za oknem ukazał się człowiek dość ubogo ubrany; w jednéj ręce trzymał siekierę, drugą prowadził na uzdeczce osła, dźwigającego pęk drzewa. Ach! to Ali-Baba! zawołał radośnie Scrooge; poznaję go doskonale! Tak! tak! pewnego razu biedne to dziecię siedziało tak smutne i opuszczone; on zobaczył go wracając z roboty, żal mu się zrobiło osieroconego chłopca, i rzekł: Chodź ze mną, John'ie, jam biedny i mam kilkoro dzieci,ale odejmiemy sobie od ust i podzielemy się z sierotą..... Było to właśnie w wigilję Bożego Narodzenia..., Przycisnął serce ręką i gorzko zapłakał.

I patrząc na to biedne opuszczone dziecię, wyraźnie coś przypomniał sobie, bo załamał dłonie wołając: Biedny! biedny chłopczyna! i znów gorące łzy spływały mu po twarzy.

— Chciałbym, szepnął sięgając do kieszeni, chciałbym dać coś temu chłopczynie co przyszedł wczoraj zaśpiewać kolendę pod mojemi drzwiami, on może także osierocony i głodny.

— Zapóźno, odrzekł duch; czujesz teraz jak ciężko zawiniłeś, opuszczając tak łatwą sposobność spełnienia dobrego uczynku;—ale otóż inne znów Boże Narodzenie.

Teraz Scrooge ujrzał się znacznie podrosłego, a izba szkolna była jeszcze posępniejsza i brudniejsza. Ściany popękały, w oknach ogromne porobiły się szpary, tynk pospadał z sufitu, ukazując nagie łaty i krokwie. Jakim sposobem zmiany te mogły nastąpić tak prędko, tego Scrooge nie wiedział, dość że wierny obraz przeszłości ukazał się jego oczom i znów ujrzał siebie samego opuszczonego, gdyż wszyscy szkolni towarzysze oddalili się, aby w rodzinnem kółku wesoło przepędzić Święta Bożego Narodzenia.

Teraz już nie czytał, tylko smutny i zgnębiony chodził po izbie; w tem drzwi się otworzyły, i wpadła prędko ładna, znacznie młodsza od niego dziewczynka; zarzuciła mu rączki na szyję, wołając: braciszku! kochany braciszku!

— To ty, Fanny, odrzekł:

— Tak ja, ja... i przyszłam zabrać cię do nas, wołała klaszcząc w rączęta,—pójdziesz ze mną do domu!....

— Ja!

— Ach! tak, pójdziesz ze mną na dobre! na zawsze! na zawsze powtarzała.!.. ojczulek teraz taki dobry, taki dobry, że u nas w domu jak w raju. Wczoraj wieczorem przyszłam mu powiedzieć dobranoc, popieścił mnie tak czule, że odważyłam się raz jeszcze poprosić go, abyś mógł zamieszkać u nas. Ojczulek spojrzał na mnie, uśmiechnął się i zezwolił, a teraz przysłał mnie tu powozem, żebym cię zabrała z sobą. Tak więc, John'ie kochany, nie będziesz już tak smutnym i opuszczonym, nie wrócisz do téj brzydkiéj ponurej izby, i co za radość! będziemy zawsze razem przez wszystkie Święta Bożego Narodzenia, będziemy razem bawić się i weselić.

— Oh! anielskie masz serce, Fanny, zawołał chłopiec, ściskając siostrzyczkę.

Klasnęła w rączki i zaczęła się śmiać; chciała go pocałować a że była za malutka, spięła się na paluszki i zarzucając mu rączki na szyję, pochyliła ku sobie jego głowę, i znów wesoło się śmiała. Potem wzięła go za rękę i pociągnęła ku drzwiom.

Nauczyciel mrucząc udzielił zezwolenie i szczęśliwie dzieci wsiadły do powozu, który szybko potoczył się po błyszczącym śniegu.

Teraz duch spojrzał na Scrooge'a, a po chwili rzekł: Była to istota tak delikatna iż zdało się iż każdy silniejszy podmuch wiatru może ją zabić.— ale jakże to wielkie, szlachetne serce biło w jéj łonie!...

— O! któżby tego nie przyznał zawołał Scrooge; była to kobieta wielkich cnót.... i łza błysła mu w oku.

— Poszła za mąż i umarła,—ale jeźli się nie mylę nie była bezdzietną? zapytał duch.

— Miała jednego syna.

— Aha! twego siostrzeńca! rzekł duch spoglądając znacząco na Scrooge'a.

Widać nie w smak mu poszło to pytanie, bo zmieszany zaledwie wybełkotał: Tak.

Zaledwie opuścili szkołę już znaleźli się w jakiemś mieście, którego ulice były bardzo ludne i ożywione. W tę i w ową stronę mijały się niezliczone cienie ludzi, powozów i wozów, gwar i ruch panował wszędzie. Tu i owdzie ukazujące się strojne hoinki, suto zastawione wystawy sklepowe, zdradzały że i tu uroczyście obchodzono Święta Bożego Narodzenia. Wieczór zapadł, ulice jasno były oświetlone.

Duch zatrzymał się przed drzwiami pewnego zakładu zapytując Scrooge'a, czy go poznaje.

— Mógłżebym go nie poznać! odrzekł, przecież w tym domu rozpocząłem mój zawód.

Weszli; w pierwszym zaraz pokoju stał przed pulpitem mężczyzna tak wysoki, że gdyby był większy choćby o dwa cale, głową dotykałby sufitu. Zobaczywszy go Scrooge zawołał z wielkiem ożywieniem.

— Ach! stary Fezziwig! o nieba! czyż on zmartwychwstał?

Stary Fezziwig położył pióro i spojrzał na zegar; zatarł ręce, poprawił kamizelki, zaśmiał się grubo, tak iż wyraźnie śmiech ten odbił się w całéj jego istocie, od stóp aż do głów, i zawołał mocnym, dźwięcznym i radośnym głosem:

— Hola! John! Dick! chodźcie tu chłopcy..

I Scrooge ujrzał się teraz już młodzieńcem, wchodzącym do sali wraz ze swoim towarzyszem.

— Aha! to Dick Willkins, rzekł Scrooge do ducha;—tak to on! dobry, poczciwy Dick! tak szczerze był do mnie przywiązany.

— Daléj dzieci! już wieczór, nie będziemy pracować; dziś wigilja Bożego Narodzenia, wołał radośnie Fezziwig; daléj, zamknijcie okiennice, pousuwajcie sprzęty, pohulamy trochę!

Trudno sobie wyobrazić jak ochoczo dwaj młodzi wzięli się do roboty; ledwie kilka minut minęło, okiennice były pozamykane, papiery i rejestra pochowane.

— Prędzéj! prędzéj chłopcy! John'ie, Dick'u! usuwajmy stoły i biórka, zróbmy miejsce do tańca.

— A oni usuwali i przesuwali wszystko, i byliby gotowi wszystko powynosić z całego domu, byle prędzéj urządzić zabawę. Pokropili i zamietli podłogę, przygotowali i zapalili kinkiety, narzucili węgla na kominek, i w mgnieniu oka kantor zamienił się w salę balową, ciepłą i obszerną.

Nadszedł też niebawem i skrzypek, usadowił się przy pulpicie, i zaczął wygrywać tak wesoło, ale to powiadam wam tak wesoło, że można było kolek dostać z uciechy. Drzwi się otworzyły i weszła pani Fezziwig, istnie uosobiony uśmiech, a tu za nią trzy miss Fezziwig, hoże i wesołe dziewczęta; potem sześciu młodych subjektów na zabój w nich zakochanych, potem wszyscy młodzi ludzie i dziewczęta pracujący w zakładzie, potem służąca ze swoim kuzynem piekarzem; potem kucharka z przekupniem mleka, serdecznym przyjacielem swego brata; potem chłopiec sklepowy z przeciwka, który podobno nie miał co jeść u swego pana; przychodził on ze służącą z pod numeru 15, którą właśnie dnia tego pani mocno wytargała za uszy. I wszyscy przychodzili tak jedni po drugich, jedni nieśmiało, drudzy pewni siebie, jedni zręcznie, drudzy niezgrabnie, słowem wchodzili jak kto umiał, dość, że wszyscy weszli i utworzyli dwadzieścia par i stanęli w koło. Dopieroż to tańczyli! to wybiegali naprzód, to się cofali, to tworzyli wspólne koło, to znów parami rozbiegali się po sali, i tak tańczyli i tańczyli do upadłego, a stary Fezziwig patrzył się i radował, aż nareszcie klasnął w dłonie na znak przestanku. Korzystając z tego, grajek zatonął twarzą w wielkim dzbanie porteru, na ten cel przygotowanego—ale za to gdy wypłynął z téj błogiéj topieli, zapomniał o odpoczynku, i wygrywał tak raźno i od ucha, iż w téj grze wyraźnie czuć było jakby postanowienie: umrę lub zwyciężę!

I tak długo a długo tańczono, bawiono się w gry, sądzono fanty, grano, śpiewano, zajadano ciastka a nareszcie powitano głośnem hura! pojawienie się stołu zastawionego zimnem mięsiwem, pasztetem z wątróbek i niezliczonym zastępem butelek, napełnionych smacznem piwkiem. Po wieczerzy bawiono się z podwojonem życiem, a wszystkiego tego narobił filut grajek, kiedy ni pytany ni proszony (istny djabeł, wiedział dobrze co robi) zaczął grać ulubioną narodową śpiewkę, przerobioną na taniec.

O! wtedy prawdziwy szał ogarnął wszystkich, sam nawet stary Fezziwig nie mógł dosiedzieć na miejscu, zaprosił panią Fezziwig i stanęli w pierwszą parę. A nie małe to było zadanie prowadzić dwadzieścia par tak rozszalałych, które ani chciały słyszeć o jakimś porządku i umiarkowaniu.

Ale nie lękajcie się, czytelnicy, stary Fezziwig, i nie młoda pani Fezziwig dadzą sobie radę. Była to godna siebie para, w całem znaczeniu tego słowa, więcéj powiedzieć nie mogę, a jeśli ty miły czytelniku wiesz większą jaką pochwałę, to mi powiedz, a serdecznie ci podziękuję. Łytki Fezziwig'a, migotały tu i owdzie jak dwie gwiazdy pierwszorzędnéj wielkości, były to istne księżyce, odbywające swe zmiany odnośnie do obrotów tańca. Już to ukazywały się w całéj pełni, już z profilu, już znikały zupełnie, i wierzcie mi kiedy mówię stary Fezziwig tak się czuł lekkim i rzeźwym, takie wyskakiwał entre-

chats i piruety, że ani ja, ani wy pewnie byście tego nie dokazali.

Bal się skończył gdy zegar wydzwonił północ; wtedy pan i pani Fezziwig stanęli po obu stronach drzwi któremi goście wychodzili, i on mężczyzna a ona kobieta, żegnali serdecznem uściśnieniem dłoni, życząc świąt wesołych. Gwar ustał, zostali tylko John i Dick i po serdecznych wzajemnych życzeniach, udali się na spoczynek, do swej izdebki po za sklepem.

Patrząc na to wszystko Scrooge był nadzwyczaj wzruszony i prawie tracił głowę, dusza jego i serce równie żywy *jak drugi on* brały udział we wszystkiem, poznawał osoby, przypominał sobie każdy szczegół, cieszył się i bawił, a dziwny jakiś niepokój miotał jego sercem. Już i Dick i drugi on dawno znikli mu z przed oczu, a on patrzał i patrzał i zaledwie po chwili przypomniał sobie, że duch stoi obok niego i zarazem spostrzegł że mu się nader uważnie przypatruje, a światłość bijąca od jego głowy coraz się powiększa.

Duch dał mu znak żeby słuchał rozmowy dwóch subjektów, którzy wszedłszy do swej izdebki wychwalali i błogosławili Fezziwig'a.

—Jakże to mało trzeba tym głupim ludziskom, aby tak wielką uczuwali wdzięczność, rzekł duch. Cóż za wielka rzecz, że stary Fizziwig wydał dwa czy tam trzy funty szterlingów naszych ziemskich pieniędzy, żeby aż tak się nad nim unosić i wychwalać.

— O! to nie o to chodzi, rzekł Scrooge, zapominając czem jest i odzywając się jak gdyby był owym drugim dopiero widzianym Scrooge'm;—tak, to nie chodzi o mniej lub więcej wydanych pieniędzy, ale Fezziwig umiał jednem słowem uszczęśliwić nas lub zasmucić, dzięki jego wychodzeniu, spełnianie naszych obowiązków stawało nam się łatwem, wszelkie trudy miłe i pożądane,—a cóż znaczy że ta władza jego zasadzała się na słowach, spojrzeniach i niezliczonych drobnostkach, których niepodobna zsummować i wykazać iloczyna, kiedy umiał obdarzać nas szczęściem, jakiego i za największe pieniądze kupić nie można.

Tu zatrzymał się widząc, jak przenikliwie duch na niego patrzy,—a po chwili westchnął głęboko.

— Co ci to? zapytał duch.

— Nic....nic....odrzekł,—ot chciałbym tylko módz teraz pomówić kilka słówek z moim subjektem.....

— Rozumiem....ale już zapóźno.

Scrooge przypomniał sobie słowa Marley'a i pomyślał jaki to ciężki łańcuch przyjdzie mu dźwigać z samych tych ogniw „zapóźno!

W tej właśnie chwili drugi *on* zgasił lampę, a Scrooge i duch znowu znaleźli się na wolnem powietrzu.

— Czas upływa, wyrzekł duch,—prędzej! prędzej!....

Słów tych nie mówił ani do Scrooge'a, ani do kogokolwiek którego by tenże mógł dojrzeć, wywarły jednak natychmiastowy skutek, gdyż znów zobaczył drugiego siebie. Teraz był już człowiekiem w kwiecie wieku; wyraz twarzy jego nie był jeszcze tak ostry i cierpki, jak w wieku dojrzałym, ale już zaczęły się przebijać ślady skąpstwa i chciwości. W oczach jego malowała się gorączkowa ruchliwość, niepokój i żądza bogactw zdradzające zaczynającą w nim kiełkować namiętność; można już było odgadnąć w którą stronę padnie cień wzrastającego drzewa.

Teraz nie był sam: stał obok ślicznej dziewczyny w żałobnej szacie, a światło bijące od ducha przeszłości, oświetliło łzy błyszczące w jej oczach.

— I cóż cię to może obchodzić? mówiła; inne bożyszcze zastąpiło mnie w twojem sercu, a jeśli ono ci wystarcza, jeśli potrafi stać się dla ciebie czem ja być zamierzałam, to i cóż ci trzeba więcej?

— Jakież to bożyszcze, zapanowało jak mówisz w mojem sercu?

— Złoty cielec.

— Otóż to sprawiedliwość ludzka zawołał. Z jednej strony świat tak lekceważy, tak niemiłosiernie obchodzi się z ubogimi, z drugiej znów tak surowo potępia tych co uganiają się za bogactwem!

— Za nadto troszczysz się o sądy ludzkie, a za mało o sąd własnego sumienia, łagodnie odparła dziewica, aby uniknąć kiedyś tam głupiej pogardy świata, zaparłeś się wszystkich swoich uczuć i nadziei. Widziałam jak najlepsze skłonności, najszlachetniejsze dążenia twoje, znikały z kolei, jak w ich miejsce zakorzeniała się niecna żądza zysków i bogactwa, pieniądz stał się dla ciebie wszystkiem.

— A gdyby nawet tak było, gdybym z wiekiem stał się rozumniejszym, jestże to zbrodnią? Wszakże nie zmieniłem się dla ciebie?

Wstrząsnęła głową przecząco, a po chwili rzekła:

— Nasze zobowiązania wzajemne są już bardzo, bardzo dawne. Kiedyśmy postanowili połączyć się nierozerwalnemi węzłami, byliśmy oboje biedni i zadowolnieni ze swego losu; nie marzyliśmy nawet o dostatkach, pragnęliśmy tylko wspólną pracą zapewnić sobie skromne utrzymanie. Dziś, jakże wielka zaszła w tobie zmiana! wtedy byłeś zupełnie innym człowiekiem.

— Byłem po prostu dzieckiem.

— Własne sumienie mówi ci jak bardzo się zmieniłeś—ja pozostałam czem byłam. To co mogło dać nam szczęście, dopóki oboje jedno mieliśmy serce i jedną żyli myślą—dziś stałoby się źródłem łez i goryczy. Ileż to razy rozmyślałam i zastanawiałam się nad tem.....i dla tego wracam ci dane słowo.

— Czyż kiedykolwiek domagałem się tego?

— Słowami — nie, ale całe postępowanie twoje jest tego dowodem, i nie zaprzeczysz mi - pewnie, rzekła, spoglądając na niego łagodnie ale stanowczo, że gdyby nie zobowiązywało cię dawne przyrzeczenie pewnie dziś nie pomyślałbyś starać się o moją rękę?

Chciał już odpowiedzieć twierdząco, ale zastanowił się i powiedział.

— Nie myślisz tego.

— Ach! jakże pragnęłabym módz myśleć inaczej, ale widać straszna ta prawda musi być aż nadto udowodnioną, skoro zmuszona byłam się jéj poddać. Tak jest, nie mogę nawet przypuszczać, żebyś dziś nie będąc związany dawnem przyrzeczeniem, wybierał na żonę dziewczynę bez majątku, kiedy w chwilach największego rozrzewnienia, gdy powierzałeś mi najskrytsze myśli swoje, zawsze ważyłeś wszystko na szali interesu, i oceniałeś wszystko jedynie wedle korzyści, jakie zapewnić ci może. A jeżlibyś nawet przez wzgląd na mnie, mógł zapomnieć chwilowo o zasadach i dążnościach, jakie dziś stały się jedynym życia twego celem,—to przekonana jestem że nie zadługo gorzko żałowałbyś tego, a więc przez samą pamięć téj miłości jaką cię kochałam gdy jeszcze innym zupełnie byłeś człowiekiem,—wracam ci wolność, wracam ci dane słowo.

Chciał coś przemówić, ale zastanowił się i milczał, ona dodała odwracając oczy:

— Chcę wierzyć, że przez pamięć przeszłości, dziś może zabolejesz nieco nad naszem rozłączeniem ale prędko, bardzo prędko zapomnisz o mnie, nawet wspomnienie uczuć naszych odegnasz jako niedorzeczną mrzonkę, i szczerze cieszyć się będziesz z odzyskanej wolności. Rozpoczniesz nowe życie, daj Boże! abyś w niem znalazł szczęście!

Po tych słowach rozłączyli się.

— Duchu! zawołał Scrooge, nie stawiaj mi już przed oczy obrazów przeszłości, dla czegoż tak strasznie mnie dręczysz?

— Jeszcze jeden cień tylko....

— Nie chcę! nie chcę nic widzieć więcej...nie męcz mnie...

Ale nielitościwy duch mocno uchwycił go za rękę i zmusił patrzeć na dalszy ciąg obrazu.

I w jednej chwili znaleźli się w innej miejscowości był to pokój nie wielki, nie bogaty i nie strojny, ale miły, czyściutki i wygodny. Na kominku palił się suty ogień, a tuż w pobliżu siedziała w fotelu młoda i piękna kobieta: śliczny chłopczyna bawił się przy jéj nogach, ona pochyliła się ku niemu pieszcząc go i figlując z nim razem. W tem zapukano do drzwi Ojciec! krzyknął radośnie chłopczyna, a kobieta wstała otworzyć drzwi i serdecznym uściskiem powitała męża. On przycisnął ją do serca, potem wziął na ręce chłopczynę, który wyciągał ku niemu rączęta i usiedli przed kominkiem.

Scrooge patrzał i łzy zakręciły mu się w oczach myślą cofnął się w przeszłość i pomyślał że i on mógł by był kochać i być kochanym, i ten śliczny chłopczyk byłby go nazywał ojcem, ta piękna kobieta byłaby jego żoną, i smutna zima jego życia, jaśniałaby pogodą wiosny.

— Fanny, rzekł mężczyzna, zwracając się do żony widziałem dziś jednego z twoich dawnych przyjaciół.

— Kogoż takiego?

— Zgadnij, rzekł z uśmiechem.

— Trudno....aha! jestem w domu, dodała śmiejąc się także,—pana Scrooge.

— Jego samego, przechodziłem koło okien jego kantoru; rolety nie były spuszczone a lampka paliła się na stole, mogłem więc widzieć go dobrze. Wspólnik jego umiera podobno, on siedział jak zwykle sam jeden.

— Duchu, zawołał urywanym głosem, oddalmy się ztąd co prędzej; nie chcę tego widzieć.

— Jam duch przeszłości, nie mogę ukazać ci nic innego nad to co było; mojaż wina że przeszłość twoja jest tak czarna?

— Przez litość, uchodźmy ztąd, błagał Scrooge nie mogę patrzeć dłużej na ten obraz.

I zwrócił się ku duchowi i postrzegł, iż tenże wpatruje się w niego i rzecz niepojęta, w twarzy jego widział wyraźnie twarze wszystkich osób, które mu on ukazał; wtedy rzucił się ku niemu, wołając:

— Nie dręcz mnie! nie stawiaj mi przed oczy mary przeszłości! to okropnie! ach! gdybyż przynajmniej te pominięte sposobności dobrych uczynków, tak strasznym nie paliły mnie wyrzutem!

Rzucił się na ducha, który niby żadnego nie stawiał oporu, ale jednak Scrooge nie mógł go pokonać mimo największych wysileń, i nadto dostrzegł, że od głowy jego coraz większe biło światło. Uważał że okoliczność ta ma wielki związek z wpływem jako duch na niego wywiera i chcąc się z pod niego wyzwolić, wyciągnął mu szybko z pod pachy kapelusz gasidło i gwałtem włożył na głowę, nasuwając jak mógł najgłębiej.

Naciśnięty tym fantastycznym kapeluszem, duch stał się tak maleńkim, iż ledwie można było go dojrzeć, lecz choć Scrooge całą siłą przyciskał kapelusz nie mógł jednak dokazać tego, aby wymykająca się z pod niego jasność nie świeciła jasno na podłodze.

Uczuł się nadzwyczaj osłabionym, powieki kleiły mu się do snu, i nagle nie wiedząc jakim sposobem, znalazł się w swoim sypialnym pokoju. Ostatniem wysileniem wyciągnął rękę, aby jak mógł najmocniej przycisnąć gasidło, upadł na łóżko i zasnął snem twardym.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Ukazanie się drugiego ducha.

Scrooge chrapnął nadzwyczaj głośno i obudził się; usiadł na łóżku i zanim zegar się odezwał, wiedział już dobrze, że wybije północ; miał najzupełniejszą przytomność, czuł że za chwilę ukaże mu się drugi zapowiedziany przez Marley'a posłannik. Chcąc stłumić miotający nim niepokój, spowodowany niepewnością która z firanek łóżka nowe widmo odsunie, sam pozsuwał wszystkie i leżąc na łóżku wodził oczami na wszystkie strony, aby duch nie zszedł go niespodzianie, i nie przeraził zbytecznie.

Niedowiarki w nic i niczemu nie wierzący, chełpią się tem, że ich nic wzruszyć ani przerazić nie zdoła, i że każdej chwili gotowi są stawić czoło, choćby nie wiedzieć jak niesłychanym nadzwyczajnościom. Może Scrooge nie był tak znów nieustraszonym junakiem, ale upewnić was mogę, mili czytelnicy, że nie wierzył i nie bał się żadnych strachów i tym podobnych rzeczy, i wszystko mu było jedno, czy mu się ukaże dziecko w kolebce, czy nosorożec.

I teraz był przygotowany na wszystko, wyjąwszy na to jedno że nic nie zobaczy, i dla tego, gdy północ wybiła, a żadne widmo się nie pojawiło, uczuł dziwny niepokój i zaczął drżeć jak w febrze. Upłynęło pięć, dziesięć minut, nareszcie kwadrans cały, a nic się nie ukazało, i tylko z ostatnim dźwiękiem północy, pojawiło się jakieś czerwonawe światło, a ześrodkowane jego promienie, padały na łóżko, oświetlając całą jego postać. Wolałby był ujrzeć cały tuzin duchów, niż to niepojęte światło, którego powstania i znaczenia nie mógł sobie w żaden sposób wytłomaczyć, i które budziło w nim obawę, iż może zostać spalonym, tej nawet pozbawiony pociechy, że czuł to i wiedział o tem. Nareszcie uważał, co ty czytelniku i ja drugi, dostrzeglibyśmy od razu, (gdyż zazwyczaj właśnie osoba nie znająca kłopotu, najlepiej wie, jakby należało sobie w nim radzić, i co ona niezawodnie zrobiłaby w takim razie), tak więc mówię, uważał, że kto wie czy tajemnicze ognisko tego dziwnego światła nie znajduje się czasem w drugim pokoju, gdyż wyraźnie czerwonawe promienie ztamtąd wychodzić się zdają. Opanowany tą myślą, zerwał się prędko, włożył pantofle i cichutko podstąpił pod drzwi. Właśnie gdy kładł rękę na klamce, głos jakiś zawołał nań po imieniu, rozkazując żeby wszedł do pokoju.

Otworzył drzwi i przestąpiwszy próg wszedł do swego salonu; tak, nie ma wątpliwości, to jego salon, ale jakże zmieniony do niepoznania! Mury i sufit prawie pokryte były girlandami z zielonych liści. tak świeżych i błyszczących, iż światło odbijało w nich, jakby w nieskończonej liczbie małych zwierciadeł. Na kominie, zazwyczaj tak posępnym i zimnym, płonął suty ogień, jakiego żadne oko nie widziało tu od czasu, jak dom był w posiadaniu Marley'a i Scrooge'a. Na posadzce leżały niezliczone stosy jędorów, gęsi, pulard, najprzeróżniejszej zwierzyny i ptastwa; rozmaite zimne mięsa, pieczenie, prosięta, pasztety, plum pudingi, beczki ostryg, pieczone kasztany, rumiane jabłka, gruszki, orzechy, stosy ciast i niezliczona ilość waz ponczu, którego miła woń cały zapełniała pokój. Wszystko to nagromadzone razem, tworzyło rodzaj tronu, na którym rozpierał się wygodnie przepyszny olbrzym, trzymający w ręku pochodnię w kształcie rogu obfitości, którą w chwili wejścia Scrroge'a podniósł wysoko, aby światło w całej pełni padło na jego, bogactwa.

— Zbliż się! wołał duch, nie lękaj się bliższej ze mną znajomości.

Scrooge wszedł nieśmiało, pokornie kłaniając się duchowi; nie był on już tak szorstki i nieprzystępny jak zazwyczaj i choć duch poglądał na niego dobrotliwie i łagodnie, spuścił kornie wzrok ku ziemi.

— Jestem duch teraźniejszego Bożego Narodzenia, przypatrz mi się!

Scrooge skłonił się z uszanowaniem i wlepił oczy w ducha. Miał on na sobie ciemno-zieloną szatę, oszytą białem fųtrem, układała się ona w nieregularne fałdy w około całej jego postaci, tylko szeroka pierś zupełnie była odsłoniętą. Z pod sukni wyglądały obnażone nogi, na głowie miał wieniec z hoiny, ubrylantowany szronem. Długie ciemne loki spadały mu na szyję; ruchy jego były zupełnie swobodne, twarz wesoła i łagodna; oko błyszczące, ręka otwarta, głos radośny, wszystko zdradzało spokój i wesele. U pasa jego zawieszona była staroświecka, zupełnie prawie strawiona rdzą pochwa, ale szpady w niej nie było.

— Czy nigdy nie widziałeś podobnych mnie duchów?

— Nigdy, odrzekł Scrooge.

— Czyż nigdy nie towarzyszyłeś w ich wędrówce najmłodszym członkom mojej rodziny? to się ma rozumieć moim strasznym braciom z lat ostatnich, bo ja jestem jeszcze bardzo młody?

— Zdaje mi się.... lękam się, że nie... Powiedz mi, duchu, czy wielu bardzo masz braci?

— Tysiąc ośmset siedmdziesięciu jeden.

— Taka liczna rodzina! zawołał Scrooge, jakże to wiele kosztować musi jej utrzyman ie.

Duch obecnego Bożego Narodzenia powstał ze swego tronu.

— Duchu! rzekł pokornie Scrooge, prowadź mnie gdzie ci się podoba; zeszłéj nocy, wbrew woli mojéj musiałem odbyć wycieczkę i odebrałem nauczkę która zaczyna już wydawać owoce. Dziś więc chętnie zgadzam się na podróż i pragnę z niéj jak najwięcéj korzystać.

— Dotknij się méj sukni, rzekł duch.

Scrooge mocno chwycił się jego szaty, i w tejże chwili girlandy, hoiny, drób, zwierzyna, pasztety, owoce, poncz, wszystko znikło jak cień; pokój, ogień na kominie, czerwonawe światło, rozwiały się w mgnieniu oka. I znaleźli się na ulicach miasta, rano w dzień Bożego Narodzenia; chodzący po nich ludzie, dzięki wpływowi mocnego zimna, dość nie harmonijną wyprawiali muzykę; śnieg skrzypiał pod ich obówiem; stróże wyrąbywali lód z chodników i zmiatali śnieg na ulicę, a te improwizowane lodozwały wielką uciechę sprawiały ulicznikom.

Biała, lśniąca i równa warstwa śniegu, pokrywająca dachy, była powodem, że fasady i okna domów wydawały się zupełnie czarne; cała ziemia także śnieżnym pokryta była całunem, lecz tu śnieg nie był ani tak równy ani tak biały, gdyż tu i owdzie ślady kół, wozów i powozów, poorały w nim bruzdy rozchodzące się w najrozmaitszych kierunkach. Niebo było bardzo pochmurne; węższe ulice znikały całkiem pod gęstą mgłą, któréj najcięższe cząsteczki spadały niby czarna gołoledź, tak iż zdawałoby się, że we wszystkich kominach *Wielkiej Brytanji*, zapaliły się sadze, i za wspólną umową pozbywają się ich bez pomocy kominiarzy. I cały Londyn, i klimat jego nie były zbyt zachwycające, a jednak czuć było w powietrzu jakby powiew szczeréj radości i wesela, których najpiękniejsze słońce letnie nie byłoby w stanie wytworzyć.

Ludzie zrucający śnieg z dachów pracowali raźno i wesoło; co chwila rzucali sobie słów kilka lub kule śniegowe (pocisk stokroć mniéj bolesny niż urąganie albo szyderstwo) i śmieli się z całéj duszy jeśli trafili do celu, a z całego serca jeśli chybili.

Sklepy przekupniów drobne były zaledwie przymknięte, a składy owoców jaśniały w całym blasku. Wielkie okrągłe kosze, z dużemi wystającemi brzuchami, napełnione po same brzegi prześlicznemi kasztanami, rozpierały się przy samych drzwiach, tak niby jak długie kamizelki starych smakoszów, rozkładają się na ich wypchanych żołądkach, i zdawało się, że biedne te ofiary apoplektycznéj swéj tuszy, lada chwili wypadną na ulicę. To znowu wielkie, otyłe mocno czerwonawe cebule, stały sobie na półkach, zalotnie mrugając na dziewczęta przechodzące ulicą i spoglądające z niechcenia na zielone girlandy z hoiny i jemioły; nieco opodal wznosiły się apetyczne piramidy jabłek i gruszek; ogromne grona winogron, które usłużni kupcy pozawieszali w najwidoczniejszem miejscu, aby patrzącym na nie lubownikom ślinka szła do ust, i żeby tym sposobem mogli posmakować ich *gratis*; daléj ogromne zaspy wielkich dobrze dojrzałych orzechów, przypominających przechodniom miłe przechadzki po lesie, podczas których rozkoszowali się wielkiem posłaniem z mchu i liści, tam znowu całe setki kop cytryn i pomarańcz, których piękny pozór kazał odgadywać wewnętrzną słodycz i soczystość, i prawie domagał się aby je okupić, przynieść do domu i zajadać na wety. Nawet złote i srebrne rybki, trzymane w szklannych kloszach w pośród tych wszystkich przysmaków, chociaż jako ryby zimne i apatyczne z natury, domyślały się; jednak, że się dzieje coś nadzwyczajnego, bo kręciły się otwierały pyszczki, i jakby ulerzone opływały w koło swój maleńki świat.

A sklepy korzenne? oto niby były zamknięte, z wyjątkiem dwóch lub trzech okiennic, a jakież to pyszne rzeczy wyglądały temi paru oknami. Tu słychać było ciągle radośny dźwięk wag spadających na kantor; skrzyp szpagatu który nożyczki oddzielały od motka, do zawiązywania paczek; nieustannny brzęk pudełek blaszanych, z których przedawano gościom kawę i herbatę. Różne różności co chwila pojawiały się na kantorze, i znikały jak kubki w ręku kuglarzy; a ile tu także łakoci i przysmaczków, sam ich widok obudziłby apetyt w najbardziéj rozprzężonych żołądkach, i rozbudzał niepohamowaną żądzę zakosztowania tych delicjów. Ale najciekawszy widok przedstawiali kupujący; tak im było pilno i śpieszno, iż nieustannie potrącali się i szturgali; zapominali zakupionych rzeczy, zostawiali je na kantorze lub upuszczali, popełniali najzabawniejsze omyłki, dla sprostowania ich prędko wracali do sklepów i kupiec, kupczyki i kupujący śmieli się wzajemnie z siebie.

Wkrótce dały się słyszeć dzwony zwołujące pobożnych na modlitwę; zdążali do kościołów pojedynczo, parami lub gromadkami, przystrojeni w najpiękniejsze swoje szaty, a twarze ich oddychały weselem i spokojem. Nieco daléj zawrócili się w prawdziwy labirynt ciasnych przejść i uliczek; tam w małych kuchenkach i izdebkach, niezliczona liczba osób przyrządzali swe świąteczne uczty. Widok tych biedaków żywo zajął duchy, gdyż wstępował do każdego prawie mieszkania, i przysuwając się do garnków i rynek, potrząsał nad niemi swoją pochodnią. A widać pochodnia ta dziwną posiadała władzę, bo gdy parę razy zdarzyło się, że w izdebce jakiejś przez kilka zamieszkałéj rodzin, powstała sprzeczka lub nieporozumienie, duch wstrząsnął tylko nad niemi swoją pochodnią, spuścił z niéj parę iskierek, lub kropel i zgoda wracała natychmiast, i wszyscy powtarzali, że nie godzi się kłócić w dzień Bożego Narodzenia. Wszak prawda, że mieli słuszność?...

— Powiedz mi duchu, zapytał Scrooge, czy krople spadające z twojej pochodni, mają jakiś smak szczególniejszy?

— Mają smak, jaki ja im nadaję.

— Czy można go zastosować do każdego podanego dziś obiadu?

— Tak, byle był podany z dobrego serca, ale najgłówniej do najbiedniejszych.

— Czemu?

— Bo ci najwięcej potrzebują tej przyprawy.

Niewidzialni zawsze, przenieśli się teraz na przedmieścia miasta. Scrooge uważał, że duch któremu towarzyszył posiadał szczególniejszą własność, iż pomimo swych olbrzymich kształtów, mógł wygodnie przebywać w każdem choćby najciaśniejszem miejscu, tak że czy to w najniższej lepiance czy pod wyniosłem sklepieniem pałacu nie tracił swego nadprzyrodzonego powabu i majestatyczności.

Czy chciał więcej jeszcze upewnić Scrooge'a o tej szczególnej właściwości swojej, czy skutkiem wrodzonej sobie dobroci, szlachetności i współczucia dla biednych, dość że duch udał się wprost do mieszkania subjekta Scrooge'a. Scrooge szedł z nim ciągle trzymając się jego szaty. Stanąwszy na progu, duch uśmiechnął się i potrząsając pochodnią, pobłogosławił mieszkanie Boba Kratchit. Bob pobierał tylko piętnaście *Bobów* tygodniowo, co sobota przynosił do domu piętnaście swoich imienników (1) a jednak duch obecnego Bożego Narodzenia nie wahał się pobłogosławić ubogie jego domowe ognisko..

Mistres Kratchit uwijała się po izdebce; miała na sobie ubożuchną ale czystą sukienkę, lecz za to na głowie czepeczek, przystrojony licznemi kokardami owych tanich wstążek, które choć bawełniane prawie, ładnie jednak wyglądają. Nakrywała do stołu, z pomocą córki, Belindy Kratchit, która także miała na głowie kolorowe kokardy, a syn Piotr Kratchit stał przy kominie i przewracał kartofle przysmażające się w rondlu. Gdy się tak nachylał, rogi *jego* ogromnego kołnierza od koszuli wchodziły mu w usta; prawdę mówiąc nie był też to *jego* kołnierz, tylko z uwagi na tak wielkie święto, Bob pożyczył synowi swojej koszuli, a ten pyszny z tego stroju, chciałby gorąco pokazać się w nim eleganckiemu światu. W tem dwoje małych Kratchit'ów, chłopczyk i dziewczynka, wpadli do pokoju wołając, iż czują już zapach gęsi, i mali łakomcy na samą myśl takiego przysmaku, zaczęli wyśpiewywać radośnie i skakać w około stołu.

— Co to jest, że ojca jeszcze nie ma? rzekła do nich mistres Kratchit, a i Tiny-Tom nie przyszedł i Marty nie widać, w przeszłym roku o tej porze, już od pół godziny była między nami.

— Jestem! jestem, matuniu, wołała Marta wpadając do pokoju.

— Marta! Marta, krzyczały dzieciaki; ach żebyś ty wiedziała jaką smaczną gęś będziemy zajadać.

— Niech cię Bóg błogosławi, kochane dziecię, rzekła mistres Kratchit, zdejmując z niej okrycie i całując serdecznie, — ale czemu tak późno przychodzisz?

— Bo, matuniu kochana, mieliśmy wiele obstalunków, które koniecznie skończyć było trzeba.

— No! dzięki niebu że już jesteś; usiądź przed kominkiem i ogrzej się, moje dziecko.

— Ojciec idzie! ojciec idzie! wołały małe Kratchit'y; schowaj się Marto.

I Marta się schowała. W tem wszedł Bob Kratchit, w swoim długim szalu, którego końce spadały aż po za pas, suknie jego były nadzwyczaj zniszczone i wytarte, ale dla uczczenia tak wielkich świąt, jak najstaranniej wyczyszczone i ponaprawiane. Bob niósł na ramieniu synka swego, Tiny-Tom, gdyż biedne dziecko na szczudłach tylko chodzić mogło.

— Gdzie Marta, zawołał wszedłszy, oglądając się w około.

— Nie ma jej, rzekła mistres Kratchit.

— Jakto? nie przyszła, nie będzie z nami w dniu tak uroczystym? i Bob który od samego kościoła niósł na ręku syna, i był w najweselszem usposobieniu, posmutniał nagle.

Widząc to Marta, wybiegła z kącika w którym się ukryła, i rzuciła mu się na szyję, a jednocześnie Piotr Kratchit pochwycił w ramiona braciszka swego, Tiny-Tom, i posadził go na ławce przy kominku, aby mógł słyszeć jak plum-puding wyśpiewuje w rondlu.

— Czy Tiny—Tom w kościele nie przeszkadzał ci się modlić? zapytała męża mistres Kratchit.

— Gdzież tam! zachowywał się jak aniołek. Z powodu swego kalectwa, zmuszony jest nieraz długie godziny przesiadywać samotnie, i trudno uwierzyć co za myśli przychodzą mu do głowy. Wracając, mówił mi, iż spodziewa się, że wierni zwrócili na niego uwagę, gdyż jest kaleką, a chrześcijanie zawsze, a szczególnie w dniu tak uroczystym powinni ze współczuciem spoglądać na nieszczęśliwych, których widok przywodzi im na myśl, że Chrystus kochał biednych i kulawym chód, niewidomym wzrok przywracał.

To powiedziawszy Bob zajął się przyprawianiem ponczu, Piotr wyjął gęś z pieca, małe Kratchit'y nie odstępowały go, i processyonalnie ponieśli gęś na stół.

Słysząc radośne okrzyki jakimi ją powitano możnaby wnosić, że gęś jest nadzwyczajną osobliwością, fenomenem upierzonym, obok którego czarny łabędź byłby pospolitością, ale prawdę mówiąc gęś na stole tej biednej rodziny, uchodziła za siódmy cud świata. I wszyscy zasiedli w około stołu, a gdy mistres Kratchit zapuściła nareszcie nóż w upieczony cud, i ukazały się jabłka któremi był nadziany, radośny okrzyk wydarł się ze wszystkich piersi, i nawet cichy zazwyczaj Tiny-Tom, uderzył ręką w stół i krzyknął: Hurra!

A jakże to wszyscy unosili się nad jej kruchością i wybornym smakiem, i niezadługo *sic transit gloria mundi*, same kości po niej zostały. Teraz Marta i Belinda pozbierały i obmyły talerze, a mistres Kratchit miotana tajemnym niepokojem, poszła sama wyjąć budyń i podać go na stół.

— A jeśli się nie udał? jeśli pęknie jak go będzie wyjmować? na to straszne przypuszczenie, małym Kratchitom włosy stanęły na głowie.

Ale otóż i rondel zestawiony już z ognia, kłęby pary wznoszą się pod sufit...coś czuć w powietrzu jakby odór ługu (ze szmatki otaczającej budyń) Ach! cóż to za mięszanina smakowitych woni, przypominających restauracye z przeciwległej ulicy, pasztetnika z przeciwka i praczkę z dziedzińca. Nareszcie mistres Kratchit powraca z półmiskiem, zarumieniona jej twarz jaśnieje wyrazem radości i dumy—budyń się udał!

Bob oznajmił, że budyń przeszedł wszelkie oczekiwania, a mistres Kratchit teraz dopiero wyznała, iż była w śmiertelnej obawie, czy nie za mało wzięła mąki. Każdy wychwalał, robił jakieś spostrzeżenia, nikt jednak nie odważył się powiedzieć ani nawet pomyśleć, że był to strasznie mały budyń, odnośnie do liczby osób. O! nie, nikt z rodziny Kratchit nie dopuściłby się czegoś podobnego.

Nareszcie obiad się skończył, sprzątnięto ze stołu, pomieciono pokój i poprawiono ogień w kominku. Teraz przyszła kolej na grog przyrządzony przez Boba; na stole ukazało się tyle małych jabłuszek ile było osób, i spora paczka kasztanów wsypana została w gorejący popiół. Belinda podała wszystkie kryształy znajdujące się w domu, to jest cztery proste szklanki i dwa wyszczerbione kieliszki, i cóż to znaczy? czy myślisz, czytelniku, że grog w nich nalany mniéj smakował poczciwcom, niż gdyby go ze złotych pili naczyń? Oczy całej rodziny iskrzały radością, a kasztany syczały rozkosznie, i jakby na wiwat pękały z trzaskiem. Bob wzniósł toast.

— Niech nam wszystkim Święta upłyną spokojnie i wesoło, i niech nam Bóg błogosławi!

Wszyscy, jak echo powtórzyli jego słowa.

— Niech nam Bóg błogosławi powtórzył raz jeszcze Tiny-Tom.

Siedział na taborecie przy ojcu, który trzymał w dłoni małą jego rączynę, jak gdyby się lękał żeby mu kto nie wydarł ukochanego kaleki.

„Duchu, zapytał Scrooge, z tak żywem zajęciem jakiego nigdy dawniej nie doświadczał, powiedz mi, proszę, czy Tiny—Tom żyć będzie?

— Widzę opróżnione miejsce przy ognisku téj biednej rodziny, i szczudełka przechowywane jako najdroższą pamiątkę, jeśli następca mój nie zmieni obecnych okoliczności, jeśli biedne dziecię nie będzie mogło mieć większych wygód i starannie być leczonem—umrze.

— Oh! to byłoby okropnie! i rodzice i cała rodzina tak bardzo go kochają; mój dobry duchu, powiedz mi, że Tiny—Tom nie umrze.

— Jeśli następca mój nic nie zmieni w objawiających mu się obrazach przyszłości, żaden z mego rodu nie ujrzy go już w kółku rodzinnem.—Tiny—Tom umrze;—a po chwili dodał patrząc w oczy Scrooge'a. Nic złego się nie stanie, przeciwnie, zmniejszy się nadmiar ludności.

Słysząc ducha powtarzającego własne jego słowa Scrooge zawstydził się, spuścił oczy, i jakiś nigdy dotąd nieznany żal i ból ścisnął mu serce.

— O ludzie! ludzie! zawołał duch, jeśli macie sumienie, jeśli serca wasze nie zamieniły się w martwe głazy, nie wygłaszajcie nigdy tych ohydnych myśli, przynajmniej dopóką nie będziecie w stanie pojąć, co to jest nadmiar ludności i gdzie on się znajduje. Jakiem prawem przypisujecie sobie władzę sądzenia kto ma umierać? Skąd wiecie, czy w oczach Boga nie jesteście stokroć mniej go dni życia, niż miljony nieszczęśliwych istot, podobnych dziecku tego biednego człowieka? To coś zupełnie tak wygląda jak gdyby robaczek siedzący na listku, wołał że za nadto żyje na ziemi zgłodniałych braci jego robaczków.

Scrooge wysłuchał pokornie surowego napomnienia, i zawstydzony spuścił oczy ku ziemi; wtem nagle podniósł głowę, usłyszawszy że ktoś wymówił jego nazwisko.

— No! teraz wypijmy zdrowie mego chlebodawcy! pana Scrooge, rzekł Bob.

(d. c. n.)

(*) W Anglji pospólstwo nazywa szyllingi *Bobami*.

Opis do N. 49.

(Dalszy ciąg).

N. 3—8. Dwa wzory kołder lub dywaników podróżnych w pasy. Robota szydełkowa tunetańska, wyszyta krzyżowym ściegiem. W obydwóch wzorach tło jest robione ściegiem tunetańskim włóczką kastorową, a wyszycie takąż włóczką i filozelą, ściegiem krzyżowym. Deseń N. 4 i 8 zarówno służyć może do odrobienia krzyżykami na szerokich pasach kołdry lub dywanika robionego ściegiem tunetańskim, jak i do odrobienia na kanwie lub na osobnych pasach szydełkowych, do przyozdobienia krzeseł, portjer lub poduszek na okno. Rysunek N. 5 służy do odrobienia na wązkim pasku do ryc. 3; wszędzie u d o ł u podajemy wskazówki użytych kolorów. Na wązkich paskach przy ryc. 7 wyszycie d a n e tylko włóczką czarną, w sposób na rysunku widoczny. Szerokie pasy N. 3 robione są naprzemian kolorem pąsowym i białym, a wązkie kolorem czarnym, przyrabiając ostatnie rzędy od razu do szerokich. Pierwsze zaczyna się na ocz. 32, drugie na ocz. 16. N. 6 daje w naturalnéj wielkości próbkę ściegu i wyszywania. Szerokie pasy N. 7 dawane napoprzek, robi się dwiema nitkami włóczki pąsowej i jedną czarną. Zaczyna się od 8-miu oczek łańcuszka pąsowego, w które nabiera się 8 oczek sposobem tunetańskim; potem robi się 16 o. łańcuszka czarnego, złączonego mocno z pąsowym a w nie16 o. tunetańskich; nakoniec znów 8 o. drugą nitką pąsową, poczem następuje obrabianie łańcuszkiem oczek pąsowych pąsową, a czarnych włóczką czarną. Białe wązkie pasy zaczyna się na oczek 14. Do wyszycia w miejsce włóczki czarnéj, można użyć filozeli jabłkowego koloru. W tej robocie pasy wązkie z szerokiemi łączą s i ę włóczką zieloną, ażeby oczka łańcuszka wypadały z lewéj strony.



N. 1. Vêtement z pelerynką i garnitur futrzany. N. 2. Vêtement bez pelerynki.



N. 4. Krótki parasol z łańcuszkiem do zakładania za pasek.



N. 5. Wachlarz z agrafką do paska.

N. 9—10. Dwa szlaczki na drutach. Stosownie do przeznaczenia, szlaczki robią się poprzecznie z cienkéj lub grubszéj bawełny albo z włóczki.

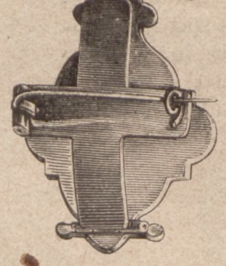
N. 11—12. Bluzka robiona na drutach. Materjał: włóczka angielska pąsowa i czarna, 2 druty stalowe grube jak do roboty pończoch włóczkowych, kawałek fabrycznie naśladowanego czarnego baranka, czarna wełniana plecionka $^{1}/_{4}$ cent. szeroka, kawałek czarnéj materyi na podszewkę pod dziurki i guziki, 3 lawowe guziczki do zapinania przodów. Bluzka taka zarówno jest dogodna do domowego ubrania, jak i do noszenia pod kaftanik lub paletocik. Zacząwszy od na wierzch zachodzącego przodu, wzdłuż na o. 100 robi się tam i napowrót zwyczajnym sposobem, raz gładko raz odwrotnie, zaczynając wszystkie czarne p a s k i od obrobienia odwrotnego, a pąsowe od gład-



N. 8. Brosza. Wierzch.



N. 10. Kolje dżetowe z medaljonami.



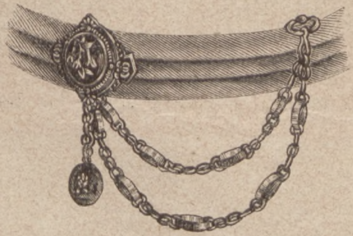
N. 9. Brosza. Spód.



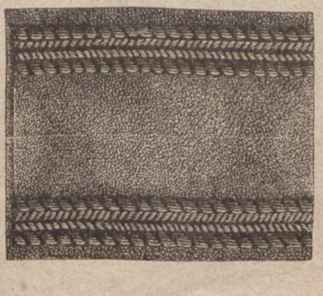
N. 11. Stanik z baskiną i bufowanemi rękawami. Do sukni ryc. 1 w Nrze 49 Tyg. Mód.



N. 6. Pasek z klamerką, sprzączkami i łańcuszkiem z oksydowanego srebra.



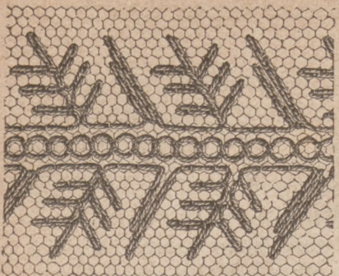
N. 7. Agrafka z łańcuszkami dżetowemi.



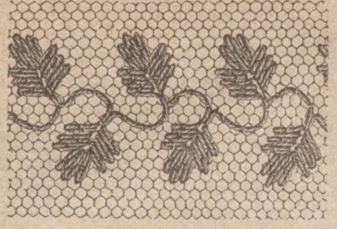
N. 3. Oszycie z plisy i sznurka do vêtement N. 1—2.



N. 12. Chusteczka robiona na drutach.



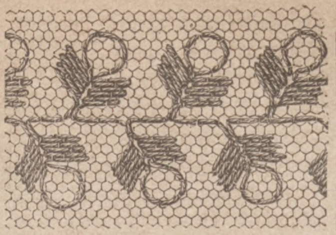
N. 13. Wstawka wyszyta na tiulu odpowiednia do sukni ryc. 45.



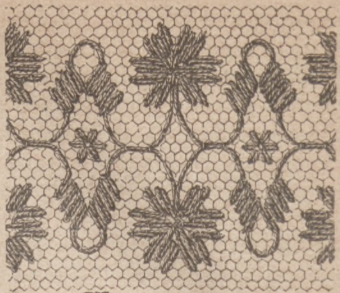
N. 14. Wstawka wyszyta na tiulu do bluzek, chusteczek i t. p. także do ryc. 45,



N. 17. Koniec do krawatki zastosowany do ryc. 23 w N. 49.



N. 15. Wstawka wyszyta na tiulu, odpowiednia do ryc. 45.

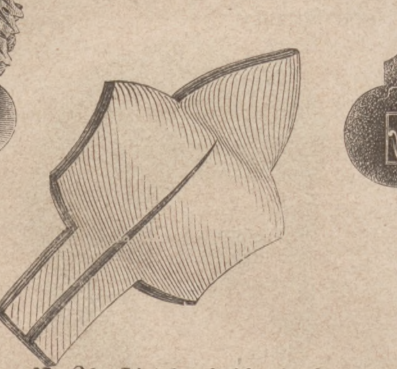


N. 16. Wstawka wyszyta na tiulu do bluzek, chustek i t.p. również do ryc. 45.

kiego, uważając ażeby czarne składały się z 6-ciu rzędów i szły lewą stroną do wierzchu, a pąsowe z 4 gładkich od wierzchu. Tym sposobem układają się paski grubo karbowane, wyraźnie na próbce N. 12 wskazane. Wszystkich pasków do podkroju pachy, wypada w bluzce 22. Zaczynając 12-ty czarny pasek, potrzeba od góry 55 o. zakończyć, a przez 45 pozostałych zrobić 3 paski czarne i 2 pąsowe; poczem na plecy złożone z 21 pas. czarnych, a 20 czerwonych, dodać napowrót w górę 55 oczek, które po skończeniu pleców łańcuszkiem zakończyć i znów robić drugi boczek i przodek w odwrotnym porządku. Po ostatnim czarnym pasku obrobić 10 rzędów na listewkę z guzikami; obrobienia te powinny być zwierzchu gładkie, od spodu, czarną materją podszyte. Rękawy zaczyna się także wzdłuż na o. 130, po odrobieniu 3 czarnych i 5 pąsowych pasków przybiera się w górę o. 14, robi równo przez wszystkie 144 o. pasków 12, potem zakończa o. przybrane, znów robi 6 pasków jak przy początku, i spaja rękaw z lewej strony. Szew na ramionach spaja się także z lewéj strony, uważając ażeby paski równo schodziły się ze sobą. Do przodka zachodzącego na wierzch dodaje się pasek baranka 4 i pół centy. szeroki, w którym obrobione są dziurki do guzików. Z takiegoż materją podszytego, 3 cent. szerokiego paska, jest stojący kołnierzyk i 4 i pół centy. szerokie patki do rękawów.



N. 18. Stoliczek do przyśrubywania.

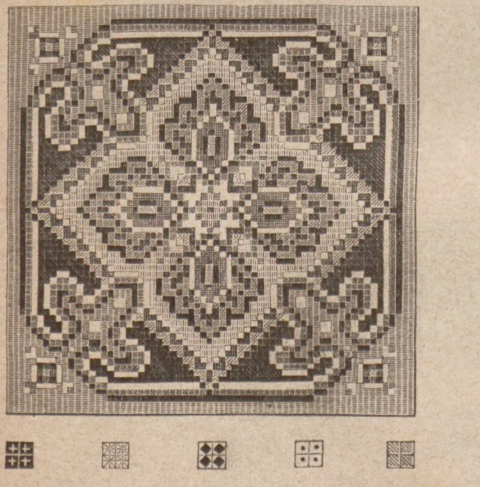


N. 20. Listek z heblowin do ryc. 16.



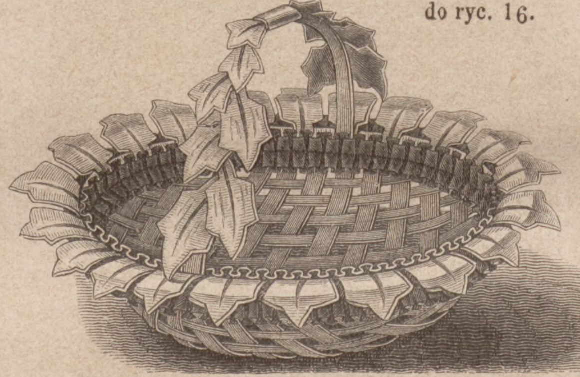
N. 21. Wieszadło do kluczy. Robota nakrapiana na drzewie.

te, przeprowadzając nitkę od spodu. Spódniczkę zaczyna się od góry łańcuszkiem ze 150 oczek, (do którego następnie i stanik się przyrabia) raz 1-szy obrabia się gładko, w drugim bierze się w każde o. 2 razy, w trzecim przybiera jeszcze po 1 o. co 17 oczko. Otrzymawszy tym sposobem 371 o. szerokości, robi się bez przybierania i gubienia jeszcze rzędów 11. W 15 obrobieniu dopiero dodaje się co 5 o. wiśniowych 1 o. popielate. Cała długość spódniczki liczy 76 obrobień, odstępy i stopniowa szerokość szlaku popielatego, dokładnie wskazana na ryc. 13. Zresztą tak szerokość jak i długość zastosowaną być musi do wieku i wzrostu dziecięcia, a ścieg jest zbyt łatwy żeby potrzebował opisu. Po wykończeniu spódniczki dorabia się stanik do tegoż samego łańcuszka, tylko przy początku i końcu 1 wiśniowego obrobienia, 10 razy opuszcza się 1 o. co 5 ocz. ażeby pozostało po pierwszem obrobieniu tylko o 130, potem obrabia się jeszcze raz dodając dziurki do przewleczenia, sznura, a następnie odznacza pasek 5 rzędami popielatemi Od paska do wykroju pachy obrabia się jeszcza 10 razy kolorem wiśniowym; potem zostawia 58 o. środkowych na przodek, zakończa po 9 na boczki, a pozostałe z każdego brzegu 27 o. daje na

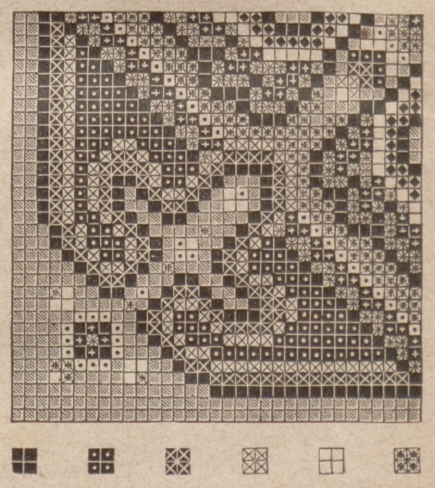


ciemniejszy, i drugi, wiśniowy, popsowy, niebieski jaśniejszy cień zielony.

N. 22. Deseń na poduszkę do kanapy lub na podnóżek Patrz ry. 23.

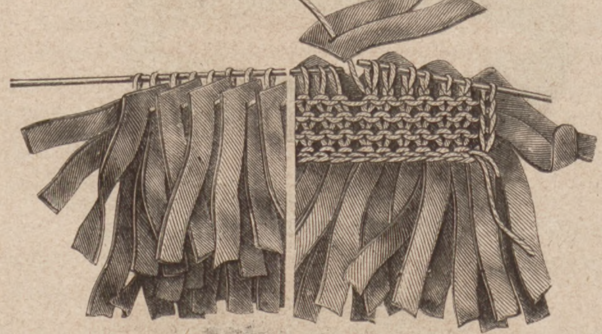


N. 19. Koszyczek na bilety wizytowe. Robota fantazyjna z heblowin. Patrz ryc. 20.



czarny, pierwszy, drugi, trzeci, czwarty żółty, jasny jedwab cień bronzowy.

N. 23. Czwarta część deseniu do ryc. 22. Robota krzyżowa.

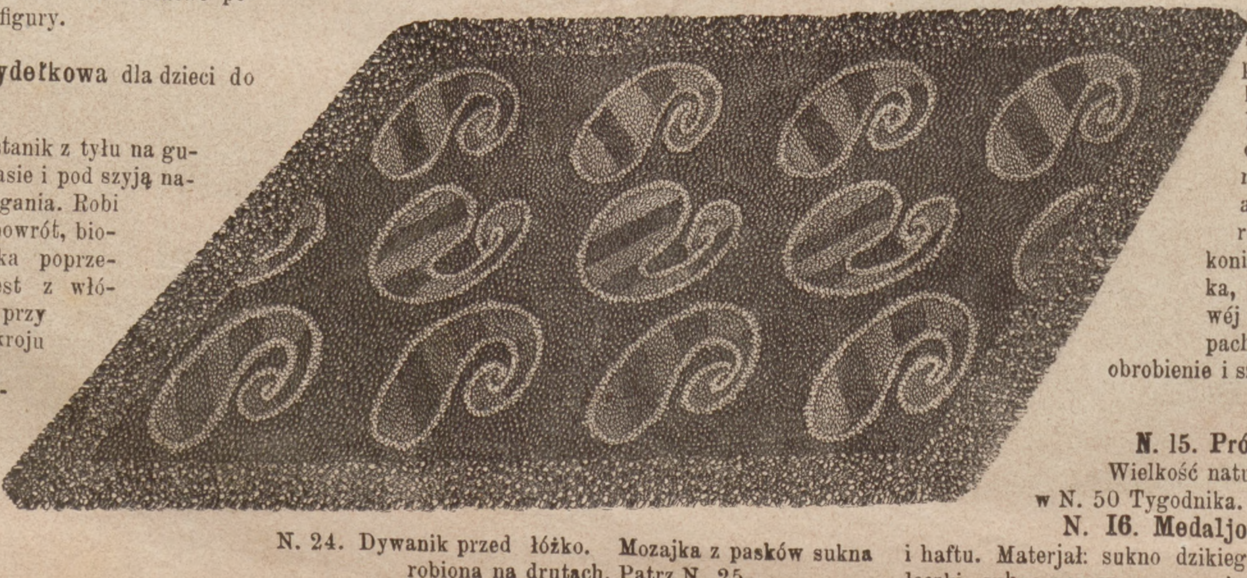


N. 25. Robota mozajki z pasków sukna lub flaneli Do N. 24.

U dołu plecy i przody są przymarszczone i w pasek wszyte. Tak długość jak i szerokość bluzki łatwo powiększyć lub zmniejszyć podług figury.

N. 13—14. Sukienka szydełkowa dla dzieci do lat 2.

Ranna włóczkowa sukienka ma stanik z tyłu na guziczki zapinany, prócz tego w pasie i pod szyją nawleczona jest sznurem do przyciągania. Robi ją się oczkami ścisłemi tam i napowrót, biorąc zawsze od wierzchu w oczka poprzedzającego rzędu. Tło sukienki jest z włóczki jasno wiśniowej, a szlaki przy spódniczce, rękawkach, przy wykroju szyi i w pasie koloru popielatego. N.14 podaje wyraźną próbkę ściegu i szlaków, których pikoty dodawane są na wierzchu. Można także na całem tle co 4te lub 5te obrobienie dawać na przemian w odstępach 5ciu oczek, 6 oczko popiela-



N. 24. Dywanik przed łóżko. Mozajka z pasków sukna robiona na drutach. Patrz N. 25.

plecy. Następnie obrabia się 19 razy każdą część prosto, osobno, odlicza w środku przodu 18, a przy plecach po 7 o. na wykrój, a pozostałe oczy obrabia 9 razy na ramiączka, powiększając stopniowo o 1 o. wykrój szyi, a tem samem zwężając ramiączka ku górze. Nakoniec zeszywa się ramiączka, i wszywa rękawy z lewéj strony i dodaje w koło pachy i wykroju, popielate obrobienie i sznury do przyciągania.

N. 15. Próbka ściegu na spódnicę. Wielkość naturalna. Zobaczyć ryc. 26 w N. 50 Tygodnika.

N. 16. Medaljon z wypukłej aplikacji i haftu. Materjał: sukno dzikiego koloru na tło, kawałeczki sukna pąsowego, orzechowego lub brązowego

i dwa cienie zielonego do aplikacji; filozela w takich samych kolorach z dodaniem jaśniejszej pąsowej i białej.

Wzór ten zarówno służyć może na narożniki do przykrycia na mały stoliczek, jak i na zęby do lambrekiny. Sposób wykonania aplikacji wypukłej opisywaliśmy już nieraz, dziś więc tylko przypomniemy, że cała piękność zależy na zręcznem i stosownem podesłaniu waty pod kwiaty i pączki i na pięknem cieniowaniu kolorów filozeli lub jedwabiu.

N. 17. Kapelusz z tiulowemi szarfami.

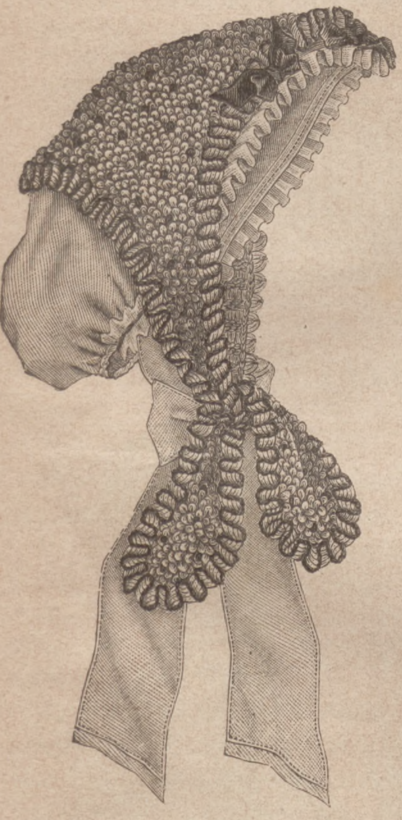
Główka kapelusza pokryta jest aksamitem, a w górę podwinięte rondko rypsem jedwabnym i objęte rulonikiem z aksamitu.

Sute ubranie z długo opuszczonemi puklami i końcem, jest z ciężkiej czarnej morowej wstążki 8 centy. szerokiej. Nierozkwitła róża z liściami aksamitnemi i lekkie pióro wpięte jest między kokardy; tak liście jak i pióra są rezedowego koloru. Długie szarfy z koronkowego tiulu, z jednej strony oszyte szeroką, nadmarszczoną koronką, lekko przewiązują się pod brodą.



N. 29. Kapturek dla dziecka robiony na drutach. Patrz ryc. 30.

N. 18. Kapelusz ze wstążkami do wiązania.



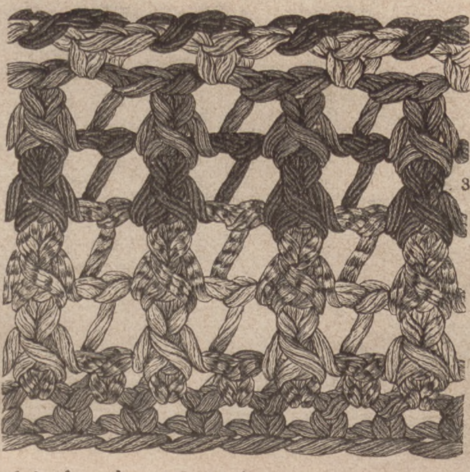
N. 33. Fanszonik robiony na drutach.

Do proste 5 i pół cent. wysokie główki, dodane jest rondko w około w górę odstające, które ma 67 centy. obwodu, gdy główka tylko 46. Na modelu główka pokryta jest tiulem czarnym; na wierzchu upięte 3 bufy z woalika z czarnego koronkowego tiulu, mającego 140 cent. długości i 26 szerokości. Końce woalika są ku jednej z podłużnych stron skośnie ścięte, a brzegi w koło 7 centy. szeroką koronką oszyte.

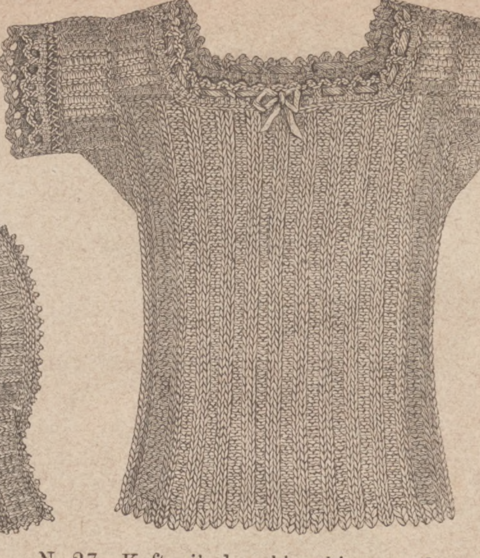
Z przodu do rondka dodane podpięcie ze sztywnego tiulu oszytego agremanem, mające 36 cen. długości, które pokrywa się wstążką i podgarnirowywa. Tak wstążki jak i pióra są w dwóch kolorach, z których jeden jasny i żywy, a drugi jaki dziki nieokreślony.

N. 19—22. Część kapy na poduszki lub na serwetę do pokrycia stołu.

Siatka, wyszycie gipiurowe i dzierganie na podłożeniu kolorowem. Kwadraty siatkowe z wyszyciem gipiurowem i kwadraty z cienkiego webowego płótna, układają się na przemian. W płócienne wprawione w środek małe, siatkowe kwadraciki, na które wzór naturalnej wielkości, podaje N. 21—22. Potrzeba je w koło mocno przydziergać, a następnie wyciąć płótno z podspodu. Duże kwadraty łatwo



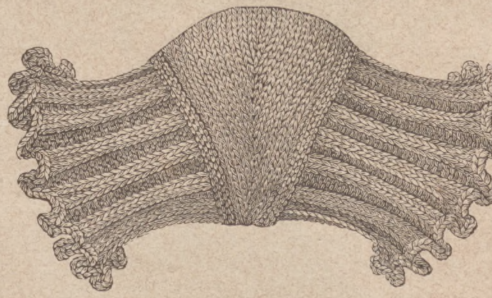
N. 37. Ażurowy szlak do pelerynek, kaftaników i t. p.



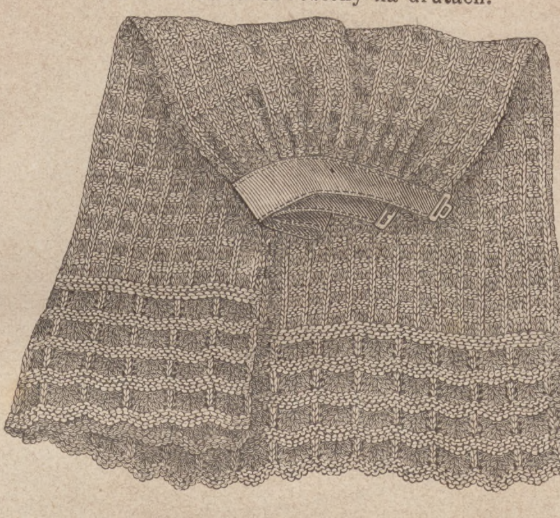
N. 27. Kaftanik damski robiony na drutach.



N 31. Majteczki dla dzieci; robota na drutach.



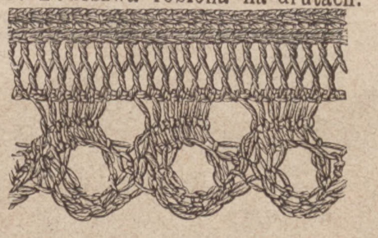
N. 32. Nakolannik robiony na drutach.



N. 26. Spódnica robiona na drutach.



N. 35. Podeszwa robiona na drutach.



N. 28. Koronka robiona na drutach do ryc. 27.



36. Szydełkowy brzeg w zęby do zakończenia kaftaników i t. p.

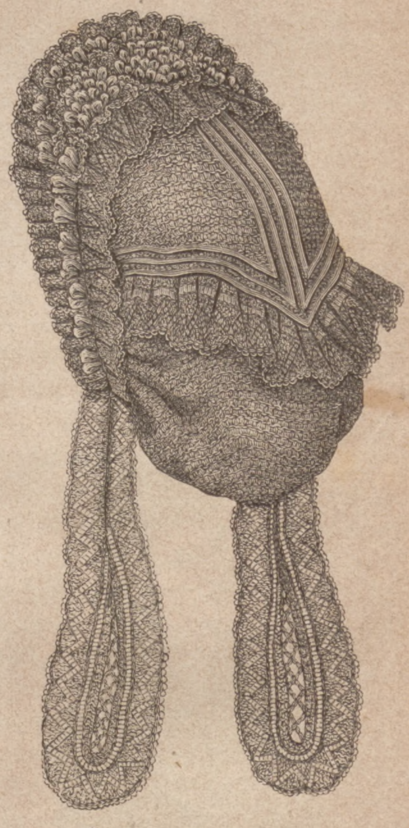


N. 30. Oszycie do kapturka ryc. 29.

będzie dobrać pomiędzy różnemi podawanemi wzorami w roku bieżącym. Wszystkie płócienne kwadraty powinny być ostębnowane, albo kratką wyciąganą obrębione, a następnie delikatnie zeszyte z siatkowemi. W koło kapy lub serwety przydzierguje się koronka, na którą wzór podajemy na ryc. 20.

N. 23. Kokarda do kołnierzyka z krepy jedwabnéj, muślinu i roboty koronkowej. Zobaczyć ryc. 17 w N. 50 Tygodnika. Ze skośnego 42 cent. długiego, a 6 cen. szerokiego kawałka krepy jedwabnéj, objętego rulonikiem, układają się 3 pukle, przepięcie i mały boczny koniec. Prosty, 16 długi a 12 cent. szeroki kawałek krepy, składa się we dwoje do środka, zczepia od spodu i wysiepuje w jednym końcu na frendzlę wiązaną, 6 cent. szeroką i przypina z lewéj strony pod węzeł. Drugi koniec ułożony jest z trójkątu, którego proste 16 cent długie brzegi, zakończone są frendzelką 1 cen. szoroką. Klarowne muślinowe końce bardzo ładnie odbijają, od kolorowej krepy. Największy koronką zakończony, podajemy w naturalnej wielkości na ryc. 17. w N. 50 Tygodnika. Dwa mniejsze są tylko wązką koronką oszyte.

N. 24. Kokarda do włosów z kwiatami. Na kwadraciku ze sztywnego podwójnego tiulu, układa się kokarda ze skośnego kawałka wiśniowego aksamitu, mającego 60 centy. długości, 7 cent. szeroko ści. i z kawałka jasno niebieskiej jedwabnej krepy, 70 centy. długiego. Brzegi aksamitu są od spodu nieznacznym ściegiem podwrębione, krepa zaś rulonikiem z wierzchu odstającym objęta. Na węźle kokardy przypięta gałązka niebieskich kwiatów.



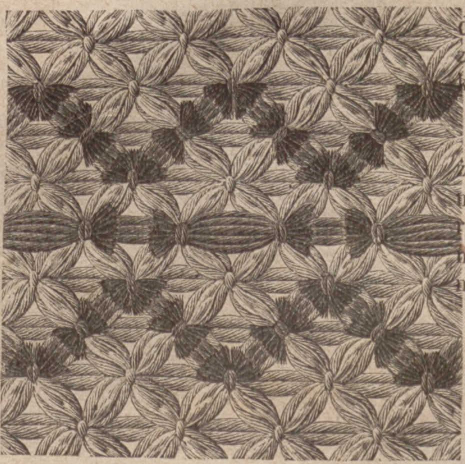
N. 34. Czepek robiony na drutach.

N. 25. Kokarda do włosów z ptaszkiem.

50 centy. długi a 7 szeroki, kawałek rypsowej wstążki blado karmazynowego koloru, w jednym końcu wysiepany na frendzlę wiązaną 6 centy. mającą, układa się sposobem na rysunku wskazanym. W miejsce węzła przypięty ptaszek z piórkami odpowiednich kolorów.

N. 26. Kokarda do kołnierzyka z krepy jadwabnej, koronki i aksamitu.

Kokarda ta ułożona jest ze skośnego kawałka kolorowej krepy, czarnej koronki i czarnego aksamitu.



N. 38. Tło robotą w ramach do kołnierza futrzanego ryc. 1.

N. 27. Muśiinowy czepeczek negliżowy. Skośnie przykrojone duże, owalne muślinowe denko, z tyłu w spiczasty ząb ścięte i od połowy koronką oszyte, upina się w ten sposób, na foremce ze sztywnego, drucikiem objętego tiulu, że górna połowa denka z brzegu i środkiem przefałdowana, stanowi bufę, a dolna rodzaj trójkątnego z tyłu spuszczonego woalika. Riusza koło twarzy i w górę wzniesiona fałbanka, oszyte są koronką. Końce do wiązania i kokardy upina się ze wstążki różowéj mantynowéj 5 i 7 cent. szerokiéj.

?8. Czepeczek z czarnego jedwabnego tiulu. Do tiulowéj sztywnéj foremki objętéj drucikiem, z przodu okrągławym zębem zakończonéj, mającej 28 cent. długości, 11 cent. środkowéj szerokości, przyszywa się z tyłu rodzaj karczka 52 cent. długiego, w środku 5, z brzegów 4 cent. szerokiego. Następnie foremkę pokrywa się bufą z czarnego jedwabnego tiulu, a do dołu jej na karczek, przyszywa się denko wyszyte w centki czarną szenelą, u dołu na elastyczny sznureczek zmarszczone. Przy samej twarzy idzie riusza 4 cent. szeroka, wąziutką koronką oszyta, za nią szersza w rurki ułożona falbanka, dalej dwie 6 centy. szerokie w podwójne kontrafałdy ułożone falbanki między które z prawej strony przypina się 9 końcy ze wstążki 5 cent. długich, a 3 cent. szerokich, z lewéj zaś strony kokardę. Przyszycie denka pokrywa wstążka 7 cent. szeroka, któréj końce służą do wiązania pod brodą.



N. 39. Woreczek do robót ozdob'ony haftem. Patrz ryc. 40.



N. 41. Okrągły kapelusz marynarski dla małego chłopczyka.



N. 42. Okrągły kapelusz dla małéj dziewczynki.



N. 43. Kaftaniczek bez rękawów. Przód do ryc. 2 w Nrze 49.



N. 40. Medaljon. Haft kolorowy do ryc. 39.

W środku do téj wstążki przypięty jest kokardą kawałek czarnego tiulu 40 cent. długi, 20 c. szeroki, w koło koronką oszyty, którego końce spadają na denko, a brzeg górny na przypinającą go kokardę.

N. 29—30. Chusteczka z krepy jedwabnéj i koronki. Krój na dodatku z formami do N. 47—48 Tygodnika N. XVII Fig. 66.

Chusteczka taka odrobiona być może z tiulu, muślinu, jedwabnéj krepy lub gazy, i przybrana haftem, frendzlami lub koronką. Podane przez nas chusteczki są z różowéj jedwabnéj krepy. Koronka przy ryc. 29 jest jasno niewarowa wełniana, przy ryc. 30 tiulowa.

Wzdłuż zeszycia na plecach, koronka naszyta jest na dwie strony sposobem wachlarzowym; daléj zaś koło chusteczki gładko. Kokardy układa się z aksamitki albo wstążki 5 cent. szerokiéj.

N. 31—33. Koronka cerowana na tiulu, do sukien, chusteczek i t. p.

Koronka taka może być robiona na tiulu, albo też pojedyncze kwiaty i liście odrobione na tiulu, mogą być następnie wycięte i połączone kratkami koronkowemi, jak to ma miejsce na ryc. 31. W każdym razie kontury obwodzą się nicią grubszą, a cerowanie wykonywa nićmi cienkiemi. Cerowanie może być podwójne lub potrójne stosownie do tego jak niektóre części roboty, potrzebują być więcej lub mniej matowe. Próbkę podwójnego cerowania podaje N. 32. Pierwsze cerowanie idzie tu prosto drugie skośne zajmuje tylko nitki o. tiulu, a cerowanie zostawia pod spodem. Na próbce N. 33, przy 3-m przesnuciu, igła chwyta za nitki cerowań poprzednich, a oczka tiulu pozostawia na spodzie. Jeżeli figury mają być wycięte potrzeba wywodzenie z lewej strony zamocować; do brzegu koronki przydziergać ząbki koronkowe.



N. 44. Wizytowe ubranie.



N. 45. Ubranie wieczorowe. Suknia muślinowa ze wstawkami. Patrz ryc. 3—16.